



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca na ziemi włoskiej

ROK IV Nr 22 (112)

NIEDZIELA, 23 LIPCA 1944 R.

CENA 10 LIRÓW

ANCONA-POWITANIEM NACZELNEGO WODZA

Orzeł polski odniósł nowe wspaniałe zwycięstwo. 2. Polski Korpus zdobył Anconę.

Kiedy piszemy ten artykuł, nie mamy jeszcze dokładnych danych, ani należytej oceny samej bitwy. Zostawiamy to zadanie bezpośrednim obserwatorom i bardziej od nas kompetentnym dowódcom.

Wystarczy jednak przeżyć prasę zagraniczną, tak skąpo do niedawna piszącą o działaniach żołnierza polskiego, aby zrozumieć doniosłość tego nowego sukcesu.

Dzięki doskonale pomyślanemu manewrowi, został zdobyty nie tylko dobrze umocniony i brzońiony przez dwie dywizje niemieckie port i miasto, ale równocześnie zdobyto wiele materiału wojennego, wzięto do niewoli około dwa tysiące jeńców i rozgromiono 278. dywizję niemiecką.

Ancona jest dużym portem na Adriatyku, jednym z większych na przestrzeni od Bari do Triestu, a ze względu na swe położenie posiada doniosłe znaczenie strategiczne. Oddał dzięki Polakom stanie się ona bazą wypadową dla dalszych działań sprzymierzonych przeciw armii niemieckiej w północnych Włoszech.

Ancona jest ogniwem w nieprzerwanym ciągu sukcesów, które odnosi żołnierz polski biorąc udział bez przerwy w ofensywie włoskiej.

Twardym wysiłkiem otworzył on sprzymierzonym drogę do Rzymu, zdobywając przed dwoma miesiącami Monte Cassino, Monte Cairo i Piedimonte. Po tym nadludzkim wysiłku zaledwie kilkanaście dni czasu miał na odpoczynek i przeorganizowanie się. I znowu ruszył do akcji. W ciągu paru tygodni, ścigając wytrwale nieprzyjaciela, staczając z nim walki pod Loreto, Castel-Fidardo, Ossimo, odrzucił wyborowe oddziały niemieckie ponad sto kilometrów w tył i zatknął zwycięską flagę polską nad Anconą. Powiewa ona dziś dumnie nad zdobytym miastem dając świadectwo, że Polacy ułatwili sprzymierzonym drogę do Lombardii.

Dla żołnierzy 2. Korpusu Polskiego bitwa o Anconę ma swój specjalny wyraz. Brały w niej udział wszystkie jego oddziały. Dowodził nią osobiście Dowódca 2. Korpusu gen. Władysław Anders. Bitwa rozgrywała się na oczach generała Kazimierza Sosnkowskiego. W ten sposób żołnierz polski witał przybywającego ponownie do Włoch swego Naczelnego Wodza. W ten sposób manifestował mu swe żołnierskie przywiązanie dla Sprawy, o którą od tylu lat walczy.

Kiedy przed kilku miesiącami Naczelną Wódz odbywał inspekcję oddziałów polskich we Włoszech, było to w przededniu bitwy o Monte Cassino. Nie ma nikogo wśród nas, kto by nie pamiętał troskliwości i serdeczności, jaką Naczelną Wódz okazał swym żołnierzom odwiedzając wysunięte placówki na pierwszych liniach, wypytując każdego o szczegóły z żołnierskiego i prywatnego życia.

Wiemy dobrze, że chciał być z nami w ciągu paru miesięcy tej ofensywy. Wąskiej natury zadania polityczne i wojskowe uniemożliwiły ten zamiar. W ciągu okresu czasu, który dzieli nas od ostatniego we Włoszech

pobytu Wodza Naczelnego, żołnierz polski wsłuchiwał się w odgłosy spraw, jakże bolesnych, które dobiegały doń z odległego Londynu. Wstuchiwał się i walczył.

Walczył wytrwale, nie dając sobie odpoczynku, nie żałując poświęcenia,

przeciwko małości i wewnętrznym rozgrywkom, przeciw tym wszystkim spośród Polaków, którzy zmęczeni i pozbawieni wiary gotowi byłoby iść na haniebne ustępstwa.

W ciągu tych kilku miesięcy żołnierz polski, szarpany niepomyślnymi

Przeciwnie, wiemy, że nie został położony kres agresywnym zamiarom Związku Sowieckiego, że nie ustały dążenia do narzucenia całej Polsce obcych rządów, że opinia narodów sprzymierzonych milczy w obliczu nowej krzywdy, która dzieje się Polsce, że podważane są przez nią nasze prawa i że... ze strony rządu polskiego przeciw temu nowemu bezprawiu nie ma należytego protestu.

W takiej chwili żołnierz polski zwraca się myślą ku swoim dowódcom. Zwraca się z żołnierską wiernością, przysięganiem i zaufaniem. Postawa Naczelnego Wodza w sprawie sporu polsko-rosyjskiego znana nam jest nie od dziś. Znamy jego stanowisko w chwili, gdy zawierany był układ polsko-rosyjski, gdy domagał się zagwarantowania w tym układzie poszanowania przez Rosję Traktatu Ryskiego. Wszyscy wiemy, jak potem walczył nieustępliwie, aby podpisana już umowa — należyte była wykonana. I wiemy dalej, że od chwili, gdy rozpoczęły się ze wszystkich stron naciski a zamiast odporu chwiletność widzimy, on ten odpór samotnie w Londynie daje.

A obok niego serca żołnierskie związały się z Dowódcą 2. Korpusu Polskiego, tym, który w najtrudniejszych warunkach uratował życie żołnierzom wyprowadzając ich z niewoli, tworząc z nich armię, która pod jego dowództwem odniosła tyle sukcesów, a której duch bezkompromisowy znajdował zawsze w nim przykład.

Wiemy, że to twarde stanowisko Naczelnego Wodza i Dowódcy 2. Korpusu Polskiego, mimo że obaj szczerze pragną dobrych, sąsiedzkich stosunków z Rosją, ściągęło na nich perfidny atak ze strony wrogich czynników tylko dlatego, że nie chcą oni umniejszenia Rzeczypospolitej. Czyni się wszystko, aby poderwać w świecie ich autorytet. Ale im więcej jest tych ataków im bardziej bezwzględne stają się naciski, serca żołnierskie tym silniej się z nimi związuja, bo żołnierz chce widzieć w nich w tych ciężkich czasach symbol nieustępliwości Polski.

Nie po raz pierwszy bowiem żołnierz polski wystawiony został na próbę i na wzięcie na swoje barki odpowiedzialności za przyszłość kraju. Tak było w Legionach Piłsudskiego, w których Kazimierz Sosnkowski był szefem sztabu, gdy walczyły one o godność i wolność narodu polskiego, o własny rząd i własne państwo i gdy jakże często zawodził działacze polityczni. Przed takimi problemami stawały Legiony Dąbrowskiego we Włoszech, gdy jak pisze Berent, „nie tylko Dąbrowski w polu, lecz i tężę porą Kościuszko i Książęiewicz w Paryżu trafili się tym, że orzeł polski nie wspiera dyplomacja własna, że sprawy nasze „zdane są na los.”

I dziś czując w marszu przez Włochy do Polski tchnienie historii, mając poczucie dziejowej doniosłości chwili, którą przeżywa — żołnierz spod Monte Cassino, Piedimonte, Loreto i Ancony zdecydowany jest na największe ofiary dla zapewnienia niepodległości, wielkości Polski i jej należytej roli wśród otaczających narodów. Dla osiągnięcia tego celu gotów jest przemyśleć najcięższe próby.



Powitanie Naczelnego Wodza gen. K. Sosnkowskiego przez Dowódcę 2. Korpusu gen. W. Andersa na lotnisku.

napinając swą wolę do granic ludzkiej wytrzymałości.

Czynił to z pełną świadomością, iż walka jest konieczna, by przetrwać ponure milczenie, które rozciągnęło się nad Polskę.

Zmagał się z wrogiem, dając świadectwo prawdzie, że Polska nie pozwoli wypchnąć się z zespołu narodów zjednoczonych, które do walki pociągnęła, że pragnie zasięgnąć do konferencji pokojowej, aby jak równi z równymi ustalić organizację powojennej Europy.

Zadawał cios za ciosem Niemcom, aby świadcząc, że na siebie gotów jest brać ciężar tego wysiłku, pod którym od lat uginą się naród polski, i że walki te nie zaprzestanie dopóty, dopóki Niemcy nie zrezygnują z zamiaru wykreślenia Polski z karty Europy, dopóki nie odpłacą za zadane nam krzywdy.

Ale równocześnie uderzenia jego były protestem przeciwko wszelkim agresorom, którzy chcieliby naruszyć naszą niepodległość, całość i sławę. Były one również protestem

wiadomością, niepokojony brakiem jasnej myśli przewodniej u tych, którzy są odpowiedzialni za manifestowanie przed światem woli narodu, sam stał twardo na stanowisku, wysiłkiem nerwów i mięśni, ofiarą życia manifestował TE WOLĘ.

Dziś z tego wysiłku zdaje raport Naczelnemu Wódzowi poddając jego ocenę swą żołnierską i obywatelską pracę.

Ponowny przyjazd do Włoch Naczelnego Wodza następuje w niezwykle bolesnej i tragicznej dla nas chwili. Kiedy żołnierz polski przede wszystkim na północ Włoch, miasteczko niemieckiego wroga, — jego domostwa i byt Polski na wschodzie został zagrożony z innej strony. Wejścia rejsyjskie zajęły Wilno, Grodno, Pińsk, Kowel, płonie Brześć Litewski, walki toczą się u wrót Lwowa. I mimo że wielki obszar Rzeczypospolitej uwolniony został od niemieckiego okupanta, nie oznacza to jego wyzwolenia, bo władze polskie, jedyny prawowity gospodarz, nie obejmują rządu na ziemiach polskich.

ALEKSANDER WIR

TRAGEDIA WŁOCH

Cudzoziemiec, który osiedla się we Włoszech, przechodzi przez różne stadia swego stosunku do ludu włoskiego. Początkowo patrzy nań tak, jak turysta z okien wagonu, czy aut: malowniczość, piosenka, far niente, trochę drobnego oszustwa. Włoch tak widziany jest drugorzędny dodatkiem do pejzażu, a pierwszorzędny natrętem przy zwiedzaniu zabytków. Ma się jednak do niego pobłażliwą sympatię, bo wyczuwa się w nim instynktownie dobry stosunek do ludzi.

Kto pobyl we Włoszech przedłuży, zacznie dostrzegać, że ten uniżony Włoch ma w głębi zatłoczone odruchy dumy i że w gruncie rzeczy traktuje on przybyszów jako barbarzyńców z północy, którzy przyjeżdżają czerpać z jego rodzimych skarbow. Słuszne jest, by go to płacić, można było za to okazać uprzejmość — lecz są to jednak ludzie, których bogactwo i zdobycze techniczne nie stawiają jeszcze na równym poziomie ze starą kulturą Włoch. Jest to stosunek do „ludzi z północy” podobny do tego, jaki niedawno jeszcze Anglii mieli do Amerykanów: bogaci, niezbędni, bliscy nawet — lecz lowrzyćsko i kulturalnie niżsi, bo bez tradycji, bo cywilizacyjnie młodszy.

Bardzo nieliczni są cudzoziemcy, którym jest dane przeniknąć głębiej duszę Włoch — bardzo też rzadko Włosi ją przed obcymi otwierają. Czasem się to zdarza w stosunku do artystów, prawie nigdy — wobec dyplomatów lub polityków, którzy zazwyczaj nie wychodzą poza cienką warstwę atrakcyjności włoskiej. Domy intelektualistów są już dla nich nieomal że niedostępne, gdyż na ogół intelektualiści prowadzą życie nie dostosowane do poziomu salonów ambasad. Robotnicy i chłopcy tym bardziej są odgradzeni od dyplomacji typu przedwojennego. Dodajmy do tego, że przez parę dziesiątków lat prawdziwe Włoszy były przelotnie przez faszyzm — a będziemy mieli obraz stojących przed cudzoziemcem trudności.

Dusza Włoch jest bogata, ale i skomplikowana. Istnieją olbrzymie różnice regionalne. Lecz wszystkich Włochów łączy głęboki, na tysiącletnich tradycjach oparty humanizm i dobry stosunek do człowieka, jako jednostki wraz z jej cechami indywidualnymi, wraz z jej dążeniami — a przede wszystkim wraz z jej cierpieniem, nieodłącznym towarzyszem życia. Solidarność z człowiekiem, zwłaszcza cierpiącym, jest u podłoża psychiki włoskiej. Łączy się to z miłością życia, jego przejawów, wyrasta z pejzażu, z klimatu, z przepychu kwiatów i owoców, z łagodności morza — a kojarzy się z grozą kataklizmów i z twardą pracą tych, którzy są zmuszeni użynać jałowe zbocza gór. Przenika najgłębiej do sztuki, do sposobu życia, do myśli. Najwyższym czynnym przejawem tego stosunku do otoczenia jest myślenie, poczucie i praca sw. Franciszka z Asyżu.

Więć państwowa czy narodowa jest słabo. Silna jest solidarność rodzinna czy rodowa, której wyrazem jest osławiony i niezaszłe słusznie potępiany nepotyzm. Tam, gdzie jeszcze przetrwały stunsunki patriarchalne, pojście rodziny urasta do rozmiarów koncepcji rodziny rzymskiej. Głowa jej ma obowiązek dbania nie tylko o sywech podwładnych i Klientów, ale również o członków ich rodzin, „Pater familias” może być przez sywech klientów wyzyskiwany, nawet oszukiwany; musi w każdym razie troszczyć się o ich potrzeby. Lecz gdy sam znajduje się w potrzebie, Klientela stanie przy nim murem. Tak bywa w dużych domach ze służbą domową, tak na wsi z drobnymi dzierżawcami (mezzadri, polowicy, pracujący na działkach wykaszających majątków, za pół plonu) — tak bywa nawet w partiach politycznych. Giolitti, czy Nitti, opierali się na Klientach.

Takich pozostałości tradycji — staro-rzymskiej, jest jednak w życiu włoskim mało, zanikają one zresztą coraz bardziej, z wyjątkiem może pojcie prawa rzymskiego. Jednym z zasadniczych błędów w ocenie Włochów jest traktowanie ich jako potomków starożytnych Rzymian. Wład ten popępniał zresztą i Mussolini. Włosi, jest są spadkobiercami Rzymu, to z okresu wielkiego imperium, przesiąkniętego różnorodnymi wpływami, zwłaszcza wschodnimi. Na to przyszły jeszcze inwazje barbarzyńców, wpływy Bizancjum, na południu Maurów. Obecnie porównanie Włocha do starożytnego Rzymianina, takiego zwłaszcza, jak my go sobie wyobrażamy — prowadzi

tylko do groteski, z krzywdą dla Włoch współczesnych.

Kultura republikańskiego Rzymu wchłoniła wpływy Wschodu, aż się w nich roztopiła niemal doświadczenia. Do Włoch po kulturze greckiej, chrześcijaństwie, wpływy rozkładającego się Egiptu przysłyły wpływy Bizancjum, nawet kultur mahometańskich, poprzez Hiszpanów, Maurów, cząściowo dzięki handlowym stosunkom Wenecji. Jeszcze obecnie, gdy lud włoski przechodzi przez kryzys, instynktownie ogląda się na wschód. Tym może tłumaczyć się niektóre niezrozumiałe skąd inąd sympatie. W r. 1920 na murach miast pisało się „W. Lenin” — teraz pisze się „W. Stalin”. Psychika włoska, wyrażona chwilowo z równowagi łacińskiej przez kryzys — zwraca swą łaskę do wschodu. Lecz tak jak dawniej wpływy wschodnie nie zdołały zatrzeć istotnego, zachodniego oblicza Italii — tak i na przyszłość Włoszy pozostaną ostoją zachodniej, chrześcijańskiej kultury. Nie można sobie wyobrazić większego kontrastu niż dusza Włoch i dusza bolszewickiej Rosji.

Kryzys Włoch został wywołany przez przegrany wojnę, lecz przede wszystkim przez dwadzieścia lat faszyzmu. I on bowiem był zaprzeczeniem włoskiego charakteru narodowego. Z jednego z najbardziej polojowych ludów na świecie Mussolini chciał zrobić naród zdobywców, w stylu starożytnych Rzymian. Nie na darmo kazał na bazylisce Maksencjusza przy Forum Romanum umieścić marmurowe mapy Imperium Rzymskiego; jedna z nich obejmując równie wyspę brytyjską.

Faszyzm wyłonił się z kryzysu; w roku 1920 Włoszy były rozczarowane wynikiem wojny. Lekceważone na zewnątrz, szargane waśniami partyjnymi na wewnątrz, pełne wałk bratobójczych, Włoszy przez chwilę zdawały się nakłaniać ku komunizmowi. Fabryki na północy zostały opanowane przez komunistów. Pociągi stały na małych stacjach lub w szczytnym polu i kolejarze kazali wysiadać księżom i wojskowym. Bo było to jednocześnie poniewieranie armii, której zwycięstwo nie dało ludowi włoskiemu spodziewanych zysków. Gdy w sierpniu 1920 generał Żezuitów O. W. Ledebowski odprawił nabożeństwo za zwycięstwo Polski — było to aktem odprawy ze strony tego wielkiego Polaka — przed kościołem Gezu sprzedawano nadzwyczajne dodatki pism z wiadomością o zajęciu Warszawy przez armię czerwoną.

W tym klimacie faszyzm miał poparcie z dwóch stron: nacjonalistów, którzy szukali dróg do odrodzenia narodowego i ekspansji — d'Annunzio i zajęcie Fiume — oraz przemysłowców i ziemian zagrożonych przez komunistów. Po dojściu do władzy Mussolini starał się odsunąć od siebie zachowawców, realizował zaś program nacjonalistyczno-imperialistyczny.

W pierwszym okresie sywych rządów Mussolini zaimponował zewnętrznemu światu. Jego realizacje w dziedzinie materialnej przede wszystkim udrzały w oczy. Kolejce zaczęły funkcjonować ze wzorową punktualnością. Włoszy pokrzyły się gęstą siecią betonowych dróg. Miasta stawały się coraz czystsze, zwiększała się ilość akwakultury, elektryfikacja kraju czyniła szybkie postępy. Użyźniono olbrzymie połacie kraju, dotąd biotniełe lub jałowe. Urbanistyczna przebudowa Rzymu, nie zawsze może szczęśliwa, miała jednak rozmach napoleoński. Przykładem jest Via del Impero, zbudowana po zbuczeniu całej dzielnicy domów. Wojsko — pozornie przynajmniej — porządkowało się i rosło. Lotnictwo zaczęło zajmować jedno z czołowych miejsc na świecie. Mówiło się, że prace o takich rozmiarach w tak krótkim czasie może przeprowadzić tylko samowładza lub dyktator, powoływano się na przykłady starożytności Egiptu, Rzymu i Napoleona.

Przyjrzęci nad zachwyli się — modne stało się powiedzenie: „rędybym był Wołchem, byłbym faszystą”, powtarzali je nawet demokraci, przeciwnicy bolszewizmu i nacjonalizm niemieckiego, chcieli oni widzieć we Włoszech faszystowskich zapórę przeciwko obcej niebezpieczeństwu.

Włosy antyfaszyści dotychczas mówią z gorczyca o tych zachwyliach. Twierdzą oni, że zagranica bardzo się przyczyniła do utrwalenia faszyzmu i jego rządów. Reakcją jednak przeciw faszyzmowi ze strony społeczeństwa włoskiego nie było niemal żadnej.

Mussolini tymczasem potężniał, stawał

się niomylny, zapewne nawet we własnym mniemaniu. „Mussolini non sbagli mai” — Mussolini nigdy się nie myli — czytało się na murach ministerstw, nawet w gmachach szkolnych. Urodzony trybun, umiał mówić zwiedle, lapidarnie, w sposób zrozumiały dla tłumów, lecz równocześnie nie dający do myślenia światu więcej niż subtelne noty dyplomatyczne. Jedyną prawdziwą nutą artystyczną rządów Mussoliniego był jego mowy. Z kruchego, subtelnego materiału, jakim jest lud włoski, chciał wykuć bohatera — i walił młotem kowalskim.

Walit, a życie wewnętrzne rozpryskiwało się. Rosta korupcja i protekcjonizm. Państwo było dusze młodzieży szkolnej, której dawano fałsz propagandy zamiast prawdy. Historia, geografia, nawet matematyka były faszystowskie. O wolności myśli czy sumienia nie było mowy. Delatorstwo i areszty były na porządku dziennym. Możliwość reakcji słabła z dnia na dzień. Włoszy spod tyranii mogły się wyzwole tylko katastrofą zewnętrzną.

Garstka świątliwych Włochów widziała zbliżanie się tej katastrofy, w marzę jak polityka zagraniczna Mussoliniego stawała się coraz bardziej awanturnicza. Patriotci — antyfaszyści przeżywali tragedię: żyli między obawą katastrofy dla kraju a nadzieją, że wybawi ich ona spod jarzma.

Lecz z początku awantura udawała się. Wojna abisyńska, z początku źle widziana, powoli zyskiwała popularność. Mało kto z żołnierzy siał, a rodziny otrzymywały spore zasiłki. W masach światła nadzieja na zyski ekonomiczne, na możliwości kolonizacyjne. Był to kulminacyjny punkt wpływów Mussoliniego na masę.

Lecz nie mógł już się zatrzymać. Zajęcie Albanii wywołało u Włochów poczucie wstydu, lecz było jeszcze tolerowane. Przyjaźń z Niemcami nazistowskimi społeczeństwo była obca — widziało w niej raczej grę, niż ideologię. Niemcy imponowały zresztą Włochom swoim przemysłem, co dobre w sklepach, to było niemieckie. W społeczeństwie jednak zbyt silne było wspomnienie poprzedniej wojny, by chciało ono iść ręką w rękę z Niemcami. Mussolini natomiast mógł realizować swoje plany imperialistyczne tylko po upadku Anglii i Francji. Posiadłości włoskie w północnej i wschodniej Afryce przezielała sfera wpływów angielskich i Suez. W Tunisie pracowali Włosi. Riviera francuska i Korsyka w pojeści faszystów były ziemią włoską. Minister Ciano w dniu wybuchu wojny powiedział jednemu z polskich dyplomatów, że gdyby Włoszy teraz nie załafali sywych porachunków z Francją, musiałiby czekać przez wiek cały.

Mussolini się spieszył. Chciał wszystko zrealizować za swego życia; może czuł, że Włosi zmęczą się szybko i wymówią posłuszeństwo, może był zbyt mało kulturalny, by pracę rozkładać na pokolenia, a może po prostu spieszył się, bo czuł, że go podkopuje nieuleczalna choroba.

Napad na Grecję wywołał znów bolesny skurcz w społeczeństwie, lecz żadnej zewnętrznej reakcji. Było już za późno — Włoszy musiałby się stoczyć aż do dna klęski. W czasie działań wojennych pękali jedna po drugiej legendy o znakomitym przygotowaniu Włoch do wojny.

Mussolini musiał to widzieć, lecz nie potrafił już odejść. Przegrał z chwilą, gdy wojna przeciągnęła się poza 2 czy 3 miesiące, po których leżały na pokój; rozleglejsze przygotowania wojenne okazały się bluffem. Powiedział on kiedyś: „Meglio vivere un giorno da leone che cento anni da pecora” (lepiej żyć przez jeden dzień jak lew, niż przez sto lat jak owca). Nie był jednak ani lwem, ani prawdziwym mężem stanu, lecz powierzchownym, choć niewątpliwie utalentowanym dziennikarzem, a zarazem człowiekiem o dużym dynamizmie i niewątpliwych zdolnościach realizacyjnych. Pozostawił po sobie wspomnienie histrona, który uwierzył, że jest tytanem.

Tragedia Włoch nie skończyła się wraz z upadkiem Mussoliniego. Brzmienie faszyzmu, który kształtował naród przez dwadzieścia lat, będzie na nim ciążyło jeszcze długo. W dodatku jest się o krok od tego, by właśnie partyjne sprędy 1921, może w nowych formach, znowu wstrząsnąć życiem społeczeństwa. Trzeba sobie uprzytomnić, że przez trzydzieści blisko lat, a więc przez życie całego pokolenia, Włoszy nie miały normalnego przyrostu mło-

dych się umysłowych. Staneła temu na przeszkodzie najpierw wojna, później wale partyjne i anarchia w kraju, wreszcie faszyzm. Ci, którzy wch wierzili, zalamali się teraz. Znakomita większość młodych jest przeżarta przez korupcję, została wdrożona do powtarzania liczmanów, w które nie wierzy. Wyrósł nie wiedzący ani co to jest wolność, ani uczciwość myśli.

Najlepsi z Włochów niezarz padają w rozpacę. Dużo elementów żywych i aktywnych można by skupić w wojsku, lecz tworzenie jego, przynajmniej w większych rozmiarach, napotyka na nieprzezwyciężone trudności. Prądy polityczne nawiązują do tradycji sprzed przeszło 20 lat, nie zawsze zresztą szczytliwych. Kraj — w grzechach fizycznych i moralnych. Trzeba zaczynać odbudowę od podstaw — a młodych zwłazsza pracowników brak. Na przyszłość brak wyraźnych danych, w jakich granicach odbudowa będzie możliwa. Nie ma odpowiedzi, jaki będzie los floty, lotnictwa, armii, nawet granic. Życie gospodarcze i finansowe jest w upadku, powiększającym się z dnia na dzień. Negatywna część zadani — ostateczny upadek faszyzmu, wyparcie Niemców z Włoch — zostanie wkrótce dokonane siłami sprzymierzonych, z pewną tylko pomocą najlepszych elementów Włoch. Zadania pozytywne — odbudowę życia w najszerszym znaczeniu — będą wymagały niezmierzonego wysiłku i pracy wielu lat, może całego pokolenia. Przyjaciele Włoch mogą być jednak spokojni; naród włoski ma tyle w sobie zasobów duchowych, tyle możliwości twórczych, tyle tradycji kulturalnych, że zadaniom swym sprosta. Pierwsze stadium wolności budzi nadzieję na przyszłość. W okresie przełomu na powierzenie, wpływający najęsciej my; we Włoszech na szczyty, w pierwszym porwie dostało się wielu ludzi nie tylko wysokiej miary kulturalnej, ale i wielkiej prawości charakteru — ludzi czystych.

Ujęcie przez nich władzy w obecnych warunkach jest świadomym poświęceniem. Rząd włoski nie ma bowiem danych ani na popularność, ani nawet na trwałość. Skrupopany zewnętrznymi warunkami: w kraju zrzucony nie tylko przez bomby i toczące się walki, ale i przez rozdarcie wewnętrzne graniczące z wojną domową — rząd włoski ma niezmierne małe możliwości oddziaływania na toczące się wypadki. Rząd Badoglio podpisał z aliantami warunki rozejmu, częściowo tylko znane, a dla Włoch bardzo uciążliwe. Mają być one podobno ogłoszone niebawem. Dodajmy do tego, że rząd składa się z przedstawicieli szerszej stronnictw o rozbieżnych tendencjach w polityce wewnętrznej; z komunistami włącznie.

Większość rządu jest republikańska, zaś funkcję głowy państwa sprawuje namiestnik króla, książę Piemontu. Z tej sytuacji wybrnięto w ten sposób, że przysięgę na wierność koronie złożył tylko premier Bonomi, inni zaś ministrowie na jego ręce złożyli ogólne przyrzeczenie, że będą bronić interesów Włoch. Stronnictwa, które weszły do rządu, złożyły przyrzeczenie, że nie będą podnosiły spraw ustawowych do czasu wyborów do Konstytuanta po uwolnieniu całych Włoch. Mimo to wyłoniła się dyskusja, czy o losie monarchii ma decydować Konstytuanta, czy też plebiscyt, zwolennikami drugiej metody są mniej lub więcej wyrażni zwolennicy ustroju monarchistycznego. Położenie komplikują jeszcze różnice dzielnicowe — na Sycylii szerzą się tendencje autonomistyczne, graniczące z separatyzmem. Jakże korektywy do obecnych stosunków wniesie uwolnienie od Niemców północnej części Włoch wraz z Mediolanem — trudno jest przewidzieć; na ogół północ jest bardziej lewicowa niż południe; wielki przemysł i wielkie kapitały mają swą siedzibę również na północy.

Polska ma szczerze sympatie do tragicznych zmagani narodu włoskiego. Jakiśkolwiek był winy jego rządów, okupił je i nadal okupuje własnym rozdarciem, cierpieniem oraz ruiną siedzib bardzo wielu rodzin. Na przyszłość będziemy naturalnymi sprzymierzeńcami, o ile Włoszy nie ulegną zrazie wschodu. Nasze narody znają się na wspólnej drodze — ku odrodzeniu i pracy dla kultury nie tylko nas samych, ale i świata całego. Drogią tą znaczy kreć żołnierza, przelana na zboczach Monte Cassino, a w chwili obecnej przelwana — obok włoskiej — na wybrzeżach Adriatyku. Łączy nas tam braterstwo broni i braterstwo ofiary krwi.

IAN ULATOWSKI

FUNDAMENT POLITYKI EUROPEJSKIEJ

Uznanie przez Polskę komitetu gen. de Gaulle'a za Tymczasowy Rząd Republiki Francuskiej, a następnie polsko-francuskie rozmowy polityczne — to pierwszy od dłuższego czasu jaśniejszy promień w ciemnicy polityki europejskiej.

Na szczególne podkreślenie zasługuje fakt, że ponowne nawiązanie współpracy polsko-francuskiej odbyło się pod hasłem walki z koncepcją „stref wpływów”.

Ponure milczenie, z jakim narody Europy oraz odpowiedzialni za ich politykę mężowie stanu śledzili ewolucję wielkich mocarstw ku „realistycznej” rzekomo koncepcji stref wpływów, było tak samo niepokojące, jak próby robienia przez niektóre rządy emigracyjne „dobrych miny do złej gry”. Inicjatywa polsko-francuska przerywa ten męczący proces osuwania się po równi pochyłej i świadczy o tym, że Europa nie zamierza kapitulować.

Ale poza znaczeniem moralnym, fakt ten ma także doniosłe znaczenie polityczne. Oświadczenie szefa tymczasowego rządu francuskiego precyzujące rolę Polski jako „doniosłego czynnika stabilizacji pokoju na wschodniej granicy Niemiec” stanowi dowód, że nie tylko Polacy i nie tylko mieszkańcy Europy środkowej zdają sobie sprawę, od jakiej konstelacji politycznej zależy przywrócenie Europy jej organicznej równowagi. Francja i Polska są głównymi filarami, na których opiera się bezpieczeństwo Europy. Dowiedzia tego negatywnie obecna wojna wykazując, że osłabienie tych filarów — przez rozkład wewnętrzny, jak we Francji i na skutek osamotnienia, jak w wypadku Polski — grozi zburzeniem zarówno bezpieczeństwa Europy, jak i równowagi europejskiej, która jest wciąż jeszcze jednym z głównych warunków bezpieczeństwa światowego.

Pięć lat wojny musiało przekonać Anglosasów, że próba równowagi Europy przez utrzymywanie napięcia niemiecko-rosyjskiego — co było nie wypowiedzianą intencją polityki europejskiej wielkich demokracji od chwili objęcia władzy przez Hitlera — była polityką samobójczą. Silne Niemcy zawsze burzą równowagę kontynentalną, a konflikt niemiecko-rosyjski nie może być skutecznie izolowany. Polityka ta tylko dzięki charakterowi Hitlera — więc na skutek przypadku — nie doprowadziła do upadku Anglii. Gwałtowne wzmocnienie Rosji, które było prostą konsekwencją pierwszego błędu, stworzyło niebezpieczeństwo tego, co w Ameryce nazywają „trzęsącą wojną światową”. Niemcy i Rosja nie są elementami równowagi europejskiej. Silne Niemcy i silna Rosja stają się ośrodkami polityki anti-europejskiej. A los Anglosasów wciąż jeszcze związany jest nierozdzielnie z losem Europy.

Niemcy łączy między Francją a Polską — wszelka próba zatraty tego faktu przez insynuowanie, że leżą one między Anglią a Rosją, jest kontynuowaniem samobójczej polityki anglosaskiej, która zadecydowała o charakterze obecnej wojny. Jeżeli Niemcy nie mają raz jeszcze stać się gróźbą dla bezpieczeństwa Europy i świata — muszą być osłabione, a Francja i Polska wzmocnione. Taki jest sens za inaugurowanej ostatnio i oby jak najtrwalszej współpracy polsko-francuskiej.

Anti-europejski charakter polityki Hitlera polega na próbie ustanowienia w Europie tyranii. Europa nigdy nie znosiła i nigdy nie zniesie tyranii. Udana próba ustanowienia jej oznacza koniec Europy. Zwycięska tyrania czyni Europę automatycznie wysokim robaczkowym Azji. Skutek ten musi mieć każda tyrania, narzuca Europa.

Porządek europejski, którego filary stanowią — jak to wykazała obecna wojna — Francja i Polska, opiera się

na zasadzie organicznej współpracy. Żaden naród europejski nie może być środkiem do celów leżących poza nim. Jedność Europy wyrasta ze współzależności narodów europejskich i z harmonii ich celów. Nie pojawi

tego Niemcy, którzy pragnęli i pragną narzucić Europie swoje cele. Jest to powód, dla którego wszystkie ich próby zjednoczenia Europy chybiły. Żadna nauka i żadna „re-edukacja” nie wymuszają na Niemcach nic więcej

ponad czysto werbalne zapewnienia — jak tego dziś jesteśmy świadkami. Niemcy są organicznie niezdolni do prowadzenia polityki imperialistycznej w wielkim stylu. Twórczy kompromis jest dla nich tajemnicą o siedmiu pieczęciach. Rozwiązania niemieckie są zawsze radykalne — likwidują problem przez wyrwanie go z korzeniami. Niecierpliwość, która nie jest niczym innym, jak tylko skąpstwem woli — niszczy wszystkie ich większe zamierzenia. Żaden filozof nie nauczy ich „myślenia stuleciami”. Polityka organiczna — a więc polityka stosująca techniki ogrodniczą — jest obca duchowi niemieckiemu.

Hitler doprowadził wady niemieckie do doskonałości. Przegrał on ostatecznie misję narodu, który w położeniu geograficznym Niemiec dawno powinien być by unicyfikatorem Europy. Niemcy nie zdały egzaminu. Po tej wojnie Niemcy przestają być podmiotem polityki europejskiej, a stają się jej przedmiotem. Polityka europejska będzie polityką francusko-polską. Polska i Francja są naturalnymi sojusznikami europejskimi Anglosasów, których los tak silnie związany jest z losem Europy.

Tyrania żąda, by słabi ustępowali silnym — duch europejski wymaga, by silni ustępowali słabym. Na zaprzeczeniu tej prawdy, tj. na próbie doprowadzenia w Europie do zwycięstwa tyranii — polega anti-europejski charakter koncepcji „stref wpływów”. Realizm tej koncepcji jest złudzeniem — realną konsekwencją jej urzeczywistnienia byłoby przedłużenie istnienia Europy Podziemnej na dzieścielecia, a może nawet na stulecia. Polska, która przetrwała do życia pod ziemią, przetrwałaby zapewne i katastrofę, ale Europa przestałaby istnieć wcześniej. Zrealizowana koncepcja „stref wpływów” czyni z Europy „kocioł bałkański”, w którym wojny domowe i rewolwy trwałyby w niekończoność. Niemcy muszą być pokonane, ale podział Europy nie byłby jej pacyfikacją. Dlatego podział ten nie leży w interesie Anglosasów, których bezpieczeństwo związane jest z bezpieczeństwem Europy.

Zasada, że silni ustępują słabym, będzie obowiązywała Polskę w rejonie, w którym będzie ona najsilniejszym państwem i którego scalenie stanowi warunek dalszej egzystencji narodu polskiego i wszystkich innych narodów Międzymorza. Polska musi sięgnąć do tradycji swojej polityki renesansowej, gdy potęgę swą zawdzięczała nie tyranii, ale ofiarom przywództwu. Dziś, w okresie totalizmu, przywództwo rozumie się jako przywództwo zachłanne. Ale sła nie może być celem samym w sobie: siła obowiązuje, jak obowiązuje szlachectwo. Potęga spełnia się nie, gdy niszczy, lecz gdy buduje. Takiej potęgi pragnie naród polski i taką potęgę będzie wznosił po tej wojnie wraz ze wszystkimi narodami Międzymorza. Silne i niezależne Międzymorze jest gwarancją bezpieczeństwa w Wschodzie Niemiec.

Jeżeli interwencja narodów zjednoczonych w Europie ma spełnić swoje zadanie, celem jej musi być oparcie bezpieczeństwa Europy na systemie polsko-francuskim. Jeżeli Polska ma w systemie bezpieczeństwa europejskiego odegrać swoją rolę — musi zjednoczyć Międzymorze. Jeżeli zjednoczenie Międzymorza nie ma pozostać mrzonką — Polska musi prowadzić politykę ofiarne przywództwa. Tylko silny, który osłabia się na rzecz słabych — powiększa swoją potęgę o ich siłę. Jest to zasada niezrozumiała dla wszelkiego rodzaju Azjatów — geograficznych i duchowych; jest to zasada, która przez kontrast do totalizmu rodzi się z ducha Międzymorza i która uczyni koncepcję „stref wpływów” reakcyjną z mora.



Fot. Service cinématographique de l'Armée
Wojsko francuskie na froncie włoskim

DĄBROWSKI W RZYMIE

W siódmą rocznicę konstytucji 3 maja występowali legioniści na „Kapitolu” w Rzymie.

Na której przez tyle wieków sława błyszczała — zwrócił się Dąbrowski do szeregow swoich, wskazując im z konia na wynurzac się kołono do Palatynu gruzu nieobjęte, to rum przegromy Colosseum, to rzeźbami jeszcze żywe łuki Trajana i Konstantyna.

Padła w kohebu to krótkie słowo: Forum! Duchem zbiegli się w jedno miejsce oficerowie. Ta młodzież — „głodem starożytności” widzi oto tam, na dole obumyły chaos słów pogruchołanych — hogów i wieków cmentarzysko, zbieżność stąd na świat cały. W szkołach wszędy go przecie uczył, w Paryżu do życia teraz wkrzeszają. Każdy czuł wielki — myślał młodzi — jaki rodzi się dziś na świecie, u tego wszak grobu wylęga się myślimi: — co to jest wola i moc człowieka? co wielkość? co potęga?...

Nad pożyłkłym gruzem świątyn powietrze samo wibrowała poczyna tych młodych serc biciem — tak się zadumali w ciszy. Ledwie ociekła ich nieco pobrząki broni. Teraz dopiero postrzegł, że tuż za ich plecami przystąpiły po niewoli szeregi, również zapatrzone w tę starodawną dziwną. Szczęśliwy wciąż oręź pod sapliwie oddech — „kohort”, myślał w tej chwili setnicy, co pyta się zdając: „Dokąd nas wiedziecie, oficerowie polscy?!”

Coś tam wskreśla zwiędł oczu młodych i podejmuje się ku nim z tych ruin: jak widma tego pobojowiska dziejów, wytłaniają się na okółu kolumny nie strawione czasem.

— Niech to technicznie chwały — kołczy wódz — wraz z miłością kraju w sercach naszych pozostanie na zawsze.

Ludność Rzymu, stateczniejsza od tamtej na północny włoskiej, nie wlepiła w nich świadomych oczu nieulnie, baczyła godnie, nieco z góry, acz z nietajonym zdumieniem na obliczach. Od psirych mundurów polnych wionęło Wschodem na Rzym wiosny. A gdy kroczyła na czele tego wojska jego banda, czyli srogobarna kapela, z okrutnie mrocznym łoskotem uderzyła hucnie — choć nieco fałszywie — w poskokowe takti „mazurka” legionów, rozjaśniały uśmiechem połażania rzymian sępie twarze.

Człoby na ulicach zwiędziały się wnet od przelichnie rojnych tu księży, że temu wojsku obecnemu towarzyszą kapelani, acz ukryci stojąc przed oczami „bezbożnych” Francuzów. Innego więc ducha lud zbójczy zajmuje teraz Rzym.

Nazajutrz ujrano żołnierzy polskich leżących krzyżem, z karabinem pobok, nie tylko przed schodami Świętego Piotra, lecz i przed środkową „Iglią” na obryzmim placu: przed obeliskiem egipskim, a ówczas nawet przed tym pogańskim symbolem płochności: przed wielką szyszką — niegdyś z grobowca Hadriana. Prostotłwa jest wiadać wiara tego ludu — myśleli rzymianie

— lepsza zapowiada się z nimi zgoda niżli z Francuzami. — („Ta nabożność naszych — wtrąca nawiasowo jeden z pamiętnikarzy — uchroniła nas może najbardziej od sztyletów”).

Nawiało w uszy tłumów, że lud ten obcy pogromionemu gdzieś na wschodzie, więc blaka się odąp do święcie, sam nie wie dokąd. Zapadły te gadki w mroczne zaułki Transteveri i dojrzały w gawędach. Aż się z nich wyloniła bań — że oto naszy na miasto polomki rycerzy ostatniej wyprawy krzyżowej, co ponownie „pogromieni od Mongołów”, pragną tu w Rzymie obwołać krucjatę nową.

Te baśnie „molochu” (jak replikowali nieustannie urażeni legioniści) nie były tak bardzo chyblone. Lud rzymski wyczuł — pierwszy! — technion romantyzmu, bijące wręcz od legionów czyniąc z nich nieuledlw ostatnich rycerzy błędnych. Pod ruinami antycznego Rzymu drzemiący wciąż w wyobraźni molochu średniowieczny Rzym czarodziejski osnuł i tych zbrojnych patkowników polskich swoją legendą i mitem.

Dawa Dąbrowski rozkazy z Kapitolu nie tylko wojsku swemu. „Wiecznego miasta gospodarz” przed Napoleonem, wyprowadził go również pierwszą inicjatywą porządku, oświecenia i oświetlenia ulic w zapuszczonej wtedy stolicy papieży. Tych uzdolnion nie miał jenerał sposobności okazać potem w kraju; był wszakże u jego boku ktoś, komu się przydała ta nauka wódzarska miastem: przyszył a bardzo sprawny prezydent Warszawy za Królestwa, w czasach jej najgorliwszej rozbudowy przez Staszica (przyszył tegoż Królestwa administrator naczelny, Zajęczek, stanie się po roku niebezpieczna od wkrócenia legii do Rzymu gubernatorem paru prowincji Egiptu).

Tak wszczehronna była ta szkoła wojenna, jaką przechodziło to pokolenie.

„Nieustannie nawoływano wódzów sprawliw, że pod sztandarami Dąbrowskiego dojrzał istotnie duch nowego pokolenia.

Doznane to może technion mocy i wielkości Rzymu sprawiło, że tu właśnie wypowiedział się owych po raz pierwszy — w jakże twardych słowach Dąbrowskiego na Kapitolu.

„...A zarazem oddamy w ohydę i wytepmi zniewieszciałość, marnotrawstwo i rozpustę: jaką ci jasnie pańscy wojażerowie nasi z uciemiężeniem ziomków ubogich do Polski sprowadzali...”

„Wypitmy i podamy w ohydę” — Tak grozić mogła tylko pasja rewolucyjna tej młodzieży, którą Dąbrowski wdróżył wreszcie w karności męską — w Mannszucht, pisał do odczytania... na Kapitolu, w obliczu Forum.

Tak mogli mówić ci, którzy tu właśnie poculi się po raz pierwszy na silach, by wziąć na barki dziejowe brzemie — odnowy ducha polskiego.

W. Berent
(„Nurt”)

BITWA POD LORETO

Teraz jest cicho. Artyleria niemiecka od godziny przestała okładać nas pociskami (uciekła zapewne na północ) i otwiera się sposobność do uporządkowania bezładnych wrażeń.

Siedzę na stołku cementarza Crocetta, pod mną dośledza rozległa dolina porośnięta sadami, po drugiej stronie grzbieta, a na nim Loreto z bazyliką. Horyzont z lewej strony zamyka Adriatyk, z prawej widnokrąg gubi się w niebieskawej, szarzejącej mgłę, jako że dzień chyli się ku wieczorowi. Spodem doliny płynie rzeczka o zwierzętym dnie, płytka, taka sama jak dziesiątki rzek, które przekroczyliśmy w pościgu. Nazywa się Musone.

Dywizja Karpacka stoje tutaj w ciągu ostatnich 24 godzin jedną ze swych najbardziej pomyślnych bitew. Niemiecka linia obronna zamykająca dostęp do Ancony została rozrywana, a ponad dwustu niemieckich żołnierzy dostało się do niewoli. Polegli ponieważ się dotąd po rzyskach i wewnątrz rozbitych domów. To wszystko osiągnęła dywizja kosztem minimalnych strat.

Początek niniejszego opowiadania wywodzi się z pościgu, jaki dywizja prowadziła po szosie nr 16 z Pescary w kierunku Ancony. W dniu 28 czerwca zamykany został dość silny opór niemiecki nad rzeką Chienti, po czym oddział wydzielony pod dowództwem kpt. M. przebył 25 kilometrów i dotarł do rzeki Poteny. Kapitan, przed wojną reprezentacyjny średniostanowiec, pokazał klasę na dystansie zbliżającym się już do maratonu. W każdym razie udowodnił, że jest w znakomitej formie. Na Poteny nieprzyjacieli przyważył całość oddziału bliskim ogniem schmeissersów. Cała grupa obserwująca przedpole uszła ledwo z życiem. Pościg doznał krótkiej przerwy. Upłynęło około godziny, nadjechał pluton carrierów por. L. i czołg Sherman oddany do dyspozycji kapitana. Czołg przebył rzekę, podjechał do rozpoznanego gniazda i rozpoczął egzekucję. Działalność według ustalonej recepty: najprzód pocisk przebijający, a potem w powstałą dziurę dwa kruszące. Ta dawka wystarczyła, aby dom runął. Równocześnie na przedpolu rozwinęły się carrierzy i poczęły siać ze wszystkich ciekawców po niemieckich gniazdach. Zrobiło się straszne piekło. Po kilku minutach carrierzy i czołg wycofały się za rzekę. Droga była wolna. Następnego dnia ruch został podjęty na nowo. Jeńcy, schwytani później w bitwie na Crocetta, zeznali, że w krótkiej potyczce na Poteny ponieśli straty dotkliwe. Ponad 35 rannych ewakuowano do Ancony. Polegli pozostali na miejscu.

Ruch oddziału kpt. M. w dniu 30 czerwca doprowadził dywizję do Porto Recanati, oddległego od Ancony za ledwie o 31 km. Tempo było szybkie, jeśli brać pod uwagę miny i zniszczenia na drogach. Animus ogarnął cały Korpus. W pewnej chwili, gdy kpt. M. zatrzymał się na krótki postój, jakiś kolumna wozów ciężarowych w szalonym pedzie usiłowała wyminąć jego grupę. Z trudem tylko udało się powstrzymać szaleńców. Była to pralnia polowa.

Wieczorem tego dnia oczom żołnierzy ukazały się wyniosłe wieże stynące cudami Loreto. Na noc oddział zatrzymał się o sześć kilometrów od miasta Najświętszej Panny. Tymczasem dywizja sposobila się do dalszego ruchu. Rzuły główne i odwodowe, saperzy, ciężki sprzęt, sunęły wszystkimi dostępnymi drogami na północ. Na rzekach stawiano szybko mosty Bailey'a. Rano oddział kpt. M. wszedł do Loreto. Opór napotkano tylko w domkach podmiejskich — w mieście samymi Niemcami już nie było. Wóz dowódcy dywizji wyprzedził tym razem nawet i samochód kpt. M. i zgarzał cały entuzjazm, jakim Loreto obdarzyło swych oswo-bodźcili.

Patrole, które wyszły nad Musone, stwierdziły, że mosty zostały normalnie wysadzone w powietrze, a próbując przejść rzekę dostawały ognie schmeissersów z kilku stron. W chwili później pociski ciężkiej artylerii

niemieckiej zaczęły łupić po Loreto, a gdy drugi patrol wrócił również z meldunkiem o napotkaniu nieprzyjaciela, nie ulegało już wątpliwości, że doszliśmy do poważnej linii obronnej i przyjdzie nam tutaj stoczyć bitwę.

Mieszkańcy Loreto, którzy najwidoczniej przypuszczali, że swym entuzjazmem pokwitowali chęć wojny, która na nich przypadła, byli bardzo zaskoczeni i nie tąpili wcale swego rozgoryczenia. Cały entuzjazm znikł. Więc to tak, witamy zdecydowanie tych Polaków, a oni nie potrafili przeskoczyć przebrzydłym Tedeschi w okładnia Loreto artylerii. Santa Madonna!

Polacy jednak zastanawiali się poważnie nad tym problemem. Rano 2 lipca przybył do miasta dowódca Korpusu, długo naradzał się nad mapą z innymi dowódcami, po czym postanowił rozegrać z Kesselringiem tę rundę. Główna rola w spektaklu miała przypaść czołgom. Piechota idąc w ślad za czołgami obsadzać będzie zdobytą teren. Saperzy zrobią przejście przez rzekę, artyleria da krótkie przygotowanie. Jako pierwszy cel natarcia określono pasmo Crocetta, równoległe do pasma Loreto. Zdobycie tego pasma pozwalało wyjść na skrzydło miasteczka Castelfidardo (słynnego z wyrobu akordeonów) i zaatakować je równocześnie z dwu stron: od Crocetty i od czoła.

Taki był zamiar w głównym zarysie. W wykonaniu miały wziąć udział czołgi, druga brygada Karpacka oraz — aby działanie nie miało na skrzydle tzw. świeżego powietrza — samochody Karpackiego pułku ułanów w pasie nadmorskim.

Natarcie wyszło popołudniem. Tym razem nie układało się żadnych „rozkładów jazdy”. O trzeciej rozpoczęła się bitwa.

Czołgi przekroczyły rzekę, a batalion, który kłął na czym świat stoi, że musi walczyć trzydzieści dni z rzędu, posunął się do drogi przecinającej równoległe do rzeki szosę nr 16. Szło to wszystko bardzo powoli, bo artyleria niemiecka, znana ze swych sztuczek, pokazała, że posiada trzy razy więcej środków ogniowych, niż by się wydawało, a spandau i schmeissery zaczęły ujadąć jak oszalełe. Jakis „ofenrohr” z kukurydzy zniszczył jednego Shermana zaraz po przeprawie, a drugi Sherman zapalił się od stogu, tralonego pociskiem zapalającym. W związku z tym wydano później rozkaz, aby czołgi trzymały się z dala od stogów. Zapadł wieczór i nie było celu pchać się w głąb stanowisk niemieckich. Czołgi pozostały na stanowiskach, wewnątrz pierścienia stworzonego przez piechotę.

Rano walka podjęta została na nowo. Wkrótce rozpoznano, że Niemcy nie mają działek panc. i czołgi mogą wyprawać, co im się połoba. Ponownie rozpoczęła się egzekucja. Shermani dojeżdżały na kilkadziesiąt metrów do stanowisk i urzadzały zadanie niezawodny pogrzeb. Równocześnie piechota szła krak w krok za stalowymi ciekami Shermanów wykończając Niemców dłałicznie. Rzecz działała się na zboczu Crocetty i walka przesuwała się stopniowo z doliny na grzbieta.

Równocześnie na prawym skrzydle natarcia wytworzyła się sytuacja następująca: ciężkie samochody pancerne nie mogły przeleźć przez zanulony Musone i ruch w pasie nadmorskim utknął. Pas ten odgróźony był od doliny torem kolejowym biegnącym równoległe do morza. Za torem siedziało pół batalionu niemieckiego. Widząc co się dzieje porucznik Ryszard K. z szóstego baonu zebrał wszystkie swoje carrierzy w ilości pół plutonu i w łufi się przez tor w niemieckie stanowiska. Metoda walki stosowana przez Niemców polegała na umieszczeniu stanowisk w miejscach za zagonami żyta, a przed polami kukurydzy. Por. K. pojął szybko, gdzie należy szukać Niemców i na pełnym gazie zaczął tłuc po zie-

lonym gąszczu. Panika, jaka wybuchła wśród Niemców, przypominała najsoczystsze propagandowe opisy korespondentów sowieckich z frontu wschodniego. Cały opór, początkowo bardzo żywy, ustał momentalnie, a gromady Niemców z podniesionymi rękami zaczęły dopraszać się pardonu. Wielu uciekało na łeb na szyję.

Ze stratą jednego strzelca i z raną we własnej łopacie por. K. przyprowadził z wyprawy pierwszych trzydziestu jeńców otwierając w ten sposób bogaty rezultat dnia. Byli to wszystko młodzi chłopcy — trzeba przyznać — dobrzy żołnierze.

Ponieważ część stanowisk wciąż jeszcze broniła się, a siły por. K. były zbyt nikłe, ponowną akcję na tym samym terenie wykonał pluton por. L. z czwartego baonu, znany już czytelnikom z epizodu nad Poteną. Nim opiszemy jego czynny, musimy wyjaśnić, że czwarty baon wyruszył w ślad za bionem szóstym w momencie, gdy spracowane chłopcy z szóstego dotarli na grzbieta Crocetty. Był to zastępek świeżych sił i asekuracja na wypadek przeciwdzierzenia.

Por. L. wykończył do reszty stanowiska niemieckie za wałem kolejowym. Właśnie spotykamy go w kilka minut po podstawieniu jeńców za rzekę. Czytelnicy pozwolą, że por. L. własnymi słowami opowie o swoich wra-żeniach.

— Widziałem, że muszę ich macać w kukurydzy. Cała walka trwała krótko. Rozwinęliśmy się w szereg, otworzyliśmy ogień ze wszystkich łuf i było po wszystkim. Ranni jechali, żywi stali z podniesionymi rękami — za ledwie kilku usiłowało się dalej bronić. Jadąc na pełnym gazie rąbnąc z „piatką” do Niemca rzucającego do mnie granatami. Rzucał się w strzepy. Po zlikwidowaniu głównych linii pozostałem kilka carrierów dla zwalczania odosobnionych gniazd w sąsiednich domach i w przebieście pod torem. Takie stanowiska najlepiej wykańcza się „piatkami”. Bronili się nawet dość opornie, ale dał się im rać. Ogółem pluton zafasował około 50 jeńców.

Na carrierze piętrzą się schmeissery (niemieckie pistolety maszynowe) ulubiony łup żołnierzy karpackich. Jest ich tyle, że dla całego plutonu wystarczy.

Kor. W., stary gwałczący, nosi schmeissera przez plecy, cołta na pasie przy lewym boku, a „beretkę” przy prawym.

— Teraz rozumiem, że to wojsko. Wygląda jak dobry czołg.

A w ogóle wojna coraz więcej podobna się chłopkom. Od Cassina poczuł zapach krwi i niestannie nasilał instykt mdrapięcych zwierząt. W boju nie ma czasu myśleć patriotycznie i politycznie. Już dziś jest to sprawne stado młodych wilków i dywizja — choć skrawiona — jest dziś straszliwym narzędziem, posłusznym woli swego dowódcy.

W południe Crocetta okładana jest rzęsiste ogniem artylerii niemieckiej. Cała dolina znajduje się w naszych rękach, a piechota i czołgi weszły już na północne stoki zdobytego grzbieta. Niemcy bronią się teraz z domków rozrzuconych w kampani, opóźniają nasz ruch na północ. Z punktu obserwacyjnego na cementarzu widzę doskonale następującą dlinę i następną horyzont, o których wiemy, że będą nasze. Dolina otwierająca się przed nami szersza jest od doliny Musone. Na lewym skraju widac Ossimo, dalej ku przodowi Cambrano, a od zachodu Nummo. N. baon dociera już patrolami do szosy nr 16 oczyszczając poszczególne domy z Niemców. Inny batalion umienia się na Crocetta. W zabudowaniach na szczycie ulokowała się kompania porucznika C. (niewszczęśliwy) w Korpusie żołnierza o izmierzonym krzyżem „Virtuti”, rannego później ołtamkiem moździerza na 593. Kompania por. H. trzyma wschodnie stoki Crocetty. Żołnierze są zarosnięci, spoceni i bru-

dni. Z piwnic wylaża ostrożnie mieszkańcy domów. Spłoszone zwierzęta biegają po sadach i drogach. Co raz to natykamy się na jakiejś krowie, indyki, świnię, odwijamy z postronką jakąś biedną owcę, zdychającą z pragnienia. Ciekawe, co też ci ludzie myślą o tej wojnie? Musi ona wydawać im się jakimś niezrozumiałym i nie zwinionym kataklizmem. Sa to ludzie prości, „tutejsi”, mało który z nich był dalej niż w Loreto. Nigdy nie mieli pretensji do Niemców, ani nawet nie interesowali się tym krajem. Nigdy też nie mieli do czynienia z Polską — bo skądże? I tu nagłe na ich zagonach rozszalała się bitwa polsko-niemiecka. Artyleria polska i niemiecka niszczy im domy rodzinne, wojsko niemieckie zabiera ich woły do swoich wozów i rabuje dobytek. Potem Polacy zajmują zrujnowane domy i kole moździerze niemieckie dokonują zniszczenia. Chłop marchijski nie z tego nie rozumie.

W oddziałach na zdobytej górze odbywa się tak zwane ujarzmienie bałaganu. Kompanie porządkują się do dalszej walki, zajmują stanowiska. Artyleria niemiecka przewieciła, a ze stanowiska obserwacyjnego na cementarzu widac długie kolumny dymu, wspinające się drogą do Cambrano. Aż ręce świerzbią, by całe to tawarzystwo pokropić artylerią. Ale niestety, nie można. Stanowiska artylerii znajdują się za daleko w tle. Trzeba odczekać na przybycie ciężkiej i patrzeć na razie bezsilnie na cały bałagan towarzyszący niemieckiej ewakuacji. W tumanach kurzu pna się do Cambrano zaprzęgi osie i wole, pojedynczy żołnierze na rowerach ukadających chłopom, jakies zderzowe samochody, stojące co chwila i powiększające przez to jeszcze bałdad.

Miechło dwie gąziny, zanim artyleria zrupiła ten żłaniwy pochód Herrenvolku. Pierwsze pociski wznioły pożar na smochach i zatrzymały ruch na drodze. Potem przewzięli Spitfire'y i wykończyli zator z karabinów maszynowych.

Kpt. M. prowadzi z wysuniętego stanowiska akcję swego baonu.

— Co jest, panie kapitanie? Dlaczego tak wolno idzie natarcie? Castelfidardo wciąż się broni.

— Prosta rzecz. Niemcy chamy strzelają do nas, zamiast dać się dobrowolnie połorzynac.

Wystarczy zrobić mały spacer po zdobytych stanowiskach, by przekonać się, że Niemcy są w tej bitwie „bici i kopani”. Każdy dom, stanowiący przedtem ich gniazdo obronne, jest żalosną kupą gruzów. Shermani rozspacerowały się przez tę linie jak nóż przez masło. Wszędzie trupy. Po jakimś czasie odnajdujemy również i ciała naszych poległych. Pod wierzchołkiem Crocetty padło trzech, rozrzuconych jednym pociskiem. Dwaj inni zginęli na stołku pod klasztorom. Kapelan baonu urządził wszystkim pogrzeb na cementarzu. Na ten moment moździerze, stojące opodal, przerywały ogień, a obsługa zabierała się do kopania dołów poległym kolegom. Na niedziarnie skłębnych krzyżach ktoś wypisuje nazwiska atryamentem ołłowiem. Bratnie ręce znoszą na świeże groby gałzki cyprysów i lauru.

Pod Castelfidardo wciąż toczy się walka. Nie ważn. Miasteczko mamy w kieszeni, wcześniej czy później. Patrzy się dziś na wojnę oczami okrzepłych żołnierzy. Jesteśmy świadkami naszej drużności przewagi.

Może po tej bitwie przyjdzie następna, a po tych horyzontach następne horyzonty. Może takich bitew przed Anconą czeka nas jeszcze kilka. Nie ważne. Nie nie oprze się naszymu pochłowi. Zaczewne pniemiem i jeszcze ofiary. I to nieważne. Urzekło nas piękno i rozmach tego pochodu. Tylko tak dalej się w pierwszym szeregu tam, na północ!

Nie może być piękniejszej wojny, niż ta. I nigdy nie będziemy szczęśliwsi w naszym życiu niż teraz, płacąc wrogiom za pójście, za mord, za powiewierkę.

Witold Domański

JÓZEF CZAPSKI

„Nim rzucicie swój święty raportaż
na prasę,
Nim uwiecznicie trupy na swoich ka-
merach
Otwórzcie dobrze oczy patrząc w oczy
zgaśnię
Obcy korespondenci z agencji Reute-
ra”.

T. K. Sowiński

Dziś, kiedy przychodzi wieść, że zginął przy zdobyciu Ancony ppor. Adolf Bocheński — podejrzliwie „obstakuje” każde wielkie słowo, które ma się pod pióro cisnąć: czy nie ma w nim przesady, epitetu, który po roku czy dwóch wyda się rozdmuchany, a dla samego Bocheńskiego, gdyby żył, z jego wspaniałym zmysłem humoru i ciepłej ironii — drażniący i śmieszny.

A przecież chcąc mówić o nim słowami najcięższymi i najbardziej ścisłymi nie można nie pisać słów najmocniejszych, musimy użyć słowa bohaterstwo, więcej nawet musimy użyć słowa wielkość.

„Nie ma ludzi niezastąpionych” — tak często słyszymy to zdanie — otóż nieprawda — są ludzie niezastąpieni. Tęgo spłotu inteligencji okrutnie chłodnej, z charakterem, mstwem szaleńczym, wyjątkowej kultury i wiedzy, z hojnością i ciągłym porzywem serca już nie spotkamy. Poznamy może umysły równie świetne, charaktery nie mniej hartowane, ale nikt już nie znajmie jednego z nich, jak Bocheński. Bocheński nie tylko wśród nas — w wojsku, ale w kulturze polskiej i we współczesnej myśli politycznej.

Garść wiadomości, spisana tu przeze mnie na gorąco, zebrana od Jego brata i paru przyjaciół, może być wstępem zaledwie do prac o nim ścisłych i głębszych. Życie Bocheńskiego powinno być przedstawiane i opowiadane wszechstronnie: jego świetna kariera wojskowa, jego praca publicystyczna i polityczna, w której wyrażał te same zalety co w linii — odwagę, odwagę w dziedzinie przekonań tak rzadką u nas, odwagę myślenia do końca, nierzadko wbrew temu co najbardziej kochał, odwagę wypowiadania nabyli niepopularnych, które drażniły najbardziej.

Rok temu jechałmy razem autem przez rozpaloną karację pustynię. Adzio zasympłował nas wierszami, które deklamował mógł godzinami zaczynając od Fausta, poprzez Baudelaire’a, aż do ukochanych pacyfistycznych wierszy Wittlina i rewolucyjnego Brunschewskiego. Czy był w Polsce bardziej organiczny, bardziej całkowicie wróg sektaryzmu partyjnego, totalistycznego światopoglądu, niż człowiek, który jak on umiał lepiej „szlachetnie się różnić”, doceniać, szanować, nawet zaciebie bronić swoich przeciwników ideowych, czy był człowiek, który lepiej rozumiał, że kultura jest zespołem wartości najrozmaitszych i nieraz sprzecznych, że to nie kilkanaście sloganów, logicznie ze sobą, związanych, ale stop i nawiązywanie elementów najrozmaitszych? Otóż gdy jechałmy tak przez pustynię, chude oazy i krzaki kwitnących, różowych i białych oleandrów pod Bagdadem, mówił nam o przyszłości, że chciałby zrobić jeszcze jedną rzecz, jeżeli przeżyje tę wojnę, „chcę napisać kilkunastotomowe dzieło o polityce zagranicznej i polskiej z XVII wieku”. Już to kilkunastotomowe dzieło nigdy napisane nie będzie, wspomnienia, które projektował również napisane nie będą. Zostaje nam w rękach jego mała książeczka „Między Niemcami a Rosją”, której ładunek polityki polski nie będzie mógł pominać, garść artykułów publicystycznych z „Buntu Młodych”, „Polityki”, „Drogi” i pamięć o przyjaciołach, którzy odszli.

Przypomina się zdanie norwidowskie „Duch rozpoczynać woli”.

Adolf Maria Bocheński urodził się w 1909 roku w rodzinny majątku Ponikwie, w Małopolsce Wschodniej. W okresie wojny światowej już od piętnastego roku życia robił wielkie podróże, które na pewno przyspieszały rozwój umysłowy przedwcześnie wrażliwego dziecka: Lwów, Budapeszt, Bukareszt, potem rok na samej linii frontu, potem Kijów, Petersburg, Torino, Haparanda, Stockholm, Berlin i znowy Lwów. Kończył gimnazjum klasyczne we Lwowie i z trudem jest dopuszczony do matury, bo nie ma jeszcze 17 lat. Zaraz potem wyjeżdża do Paryża, gdzie mając mniej niż 20 lat kończy ze złotym medalem Ecole de Sciences Politiques. Potem znowu we Lwowie otrzymuje magisterium prawa.

Jeszcze w gimnazjum pisze na spółkę z bratem książkę „O skłonnościach samobójczych narodu polskiego”, bardzo ostro atakując te cechy narodowe w duchu historycznej szkoły krakowskiej. Historia pasjonuje go od dzieciństwa, jak również wojsko. W Paryżu pisze wielką pracę,

Ppor. ADOLF BOCHEŃSKI

czysto strategiczną. Od 1929 r. zaczyna pisać systematycznie artykuły treści historycznej i politycznej w „Buncie Młodych”, którego jest jednym z założycieli. W roku 1937 ukazuje się w wydawnictwie „Polityki” jego książka „Między Niemcami a Rosją”. Książka szandarowa, która wywołuje bardzo ostrą polemikę, ataki i zachwyt.

Bocheński miał za sobą również sześciomiesięczny staż w Pradze, jako urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych. I tu moment charakterystyczny. Po sześciu miesiącach zostaje usunięty za obronę Dobosz yńskiego po Myślenicach. Dobosz yńskiego, którego politycznie był gwałtownym wrogiem, z którego łezami zawsze walczył. Ale taki już był Bocheński, że musiał zawsze bronić „szaleńców”, którzy byli w opałach.

O koncepcjach politycznych Bocheńskiego będą pisać inni ludzie, którzy myśli jego śledzili od początku, którzy ją znają głęboko. Chcę tu zaznaczyć jedynie parę punktów istotnych. Był on zawsze i do końca namiętnym wrogiem tego, co jeszcze w liście z 13 czerwca r. b. nazywa „ślepych nacjonalizmem” i szowinizmem narodowociwizmem”. Idea Polski była w nim nierozdzielnie związana z myślą o wielkim, wielonarodowym państwie. Jeśli chodzi o stosunek Polaków do zagadnienia mniejszościowego — był on zawsze konsekwentny i namiętny obrońcą rozwiązywania spraw mniejszościowych na liniach skrajnie antyszowinizmowych. Stąd nieustająca polemika i walka Bocheńskiego z narodową demokracją, jak również w wielu wypadkach z obozem sanacyjnym, specjalnie po śmierci Marszałka Piłsudskiego. Artykuły Bocheńskiego w „Buncie Młodych” i w „Polityce” były konfliktowane najczęściej. Specjalnie sprawa ukraińska przejmowała Bocheńskiego. Wierzył w przyszłość Ukrainy, wierzył w możliwość, konieczność współżycia narodu polskiego z ukraińskim. Był jednym z niewielu ludzi w Polsce, którzy umieli myśleć o tym zagadnieniu beznamiętnie, wielostronnie i z głęboką znajomością sprawy. Przyjaźnił się, miał kontakty istotne z szeregiem działaczy ukraińskich od UNDA aż do U.O.W. Odczyty Bocheńskiego we Lwowie były chyba jedyną, na które uczęszczali nie tylko przedstawiciele najrozmaitszych prądów politycznych polskich, ale i jednocześnie nawet skrajna inteligencja ukraińska.

Bezpośrednio przed wybuchem wojny Bocheński pracuje nad jedną z najpoważniejszych i najdalej idących prób normalizacji stosunków polsko-ukraińskich. Nie czas dziś pisać o nazwiskach ludzi, którzy tak z ukraińskich jak i z polskiej strony w tej pracy brali udział, w pracy, która będąc na najlepszej drodze została urwana przez wojnę.

Bocheński był namiętnym konserwatystą, kult jego dnia tradycji był tak daleko posunięty, że nawet bliskim przyjaciołom wydawał się nieraz anachronizmem. Trzeba jednak przyrzec się głębiej konserwatywności Bocheńskiego, żeby zrozumieć sens, dojrzał korzenie jego myśli. Bocheński miał tak bezwzględny dar chłodnego, logicznego rozumowania, że dochodził nieraz do wniosków nieoczekiwanych i rewolucyjnych. Ten konserwatywny zaskakiwał nieraz zawodowych „postępowców” śmiałością koncepcji, gwałtownością ataku na to, co zwykli być nazywać „ciemnogrodem”. Ciemnograd wykrzywał i piętnował równie na prawicy jak i na lewicy polskiej rzeczywistości. Korzenie konserwatyzmu Bocheńskiego tkwiły w pragnieniu przeskoku dwustu lat upadku Polski, nawiązania do tradycji państwowej Polski. O Ossolińskim mówił jak o bardzo bliskim znajomym. Dyskutował o jego polityce z tą samą pasją, z tym samym poczuciem aktualności, jakby mówił o polityce Becka.

Z ramienia „Polski” Bocheński zjeżdża przed wojną całe Bałkany od Węgier do Turcji, poznaje serbski, rumuński i nawet turecki do tego stopnia, że może w tych językach czytać, wszędzie nawiązuje kontakty, przyjaźni się z Bratiano i Maniu i przesyła świetne artykuły o Bałkanach; jeden z pierwszych w Polsce pisał o panturazmie tureckim. Po paru tygodniach pobytu w tym kraju zadrwił swoją znajomością Turcji nawet starego znawcę i długoletniego ambasadora Sokolnickiego.

W okresie tureckim całe całe pisał artykuły do „Przy Kierownicy w Tobruku”, ma siły między jednym patrolem a drugim iść do schronu polozonego o sześć km od nie-

go, żeby wziąć udział w dyskusji o Keiserlingu. Jego umysł, w jakże trudnych warunkach, ani na chwilę nie usypia, nie rdzewieje.

Pierwszą rzeczą, którą kupuje Bocheński, przewieziony jako ranny z Tobruku do Aleksandrii, to trzytysiętomowe dzieło o historii państwa, którym się zaczytuje, a teraz ranny, do szpitala, parę dni przed śmiercią wiezie ze sobą maszynę do pisania i dwadzieścia tomów „Historii Rzymu w średniowieczu” Gregoroviusa.

Obrońca i wyznawca tradycji chrześcijańskiej i polskiej, był zawsze konsekwentnym wrogiem komunizmu i nigdy niebezpieczeństwa tego w stosunku do Polski nie lekceważył.

Pomimo wszelkich wysiłków żadna komisia wojskowa nie chce go przyjąć, na tyle jest chorowity i walny. Latem 1939 roku robi sceny swym przyjaciółom żądając, by go użyli wszystkich dróg i protekcji, by go do wojska przyjęto. We wrześniu, dzięki znajomemu rotnistrzowi wstępuje jako ułan do 22 pułku ułanów. Z tymże pułkiem przechodzi na Węgry, skąd na półmistrz przedostaje się do Francji. Tam kończy podchorążówkę w Coetquidan i z brządm podhalańską wyrusza pod Narvik, gdzie zostaje odznaczony Krzyżem Walecznych. Po powrocie do Francji bierze jeszcze udział w końcowym etapie kampanii francuskiej, a po kapitulacji przeprowadza całą swoją drużynę z Bretanii aż pod Marsylię. W przeciągu sześciu miesięcy pracuje w Tuluzie już na oku agentów Gestapo przeprowadzając wielką ilość oficerów i szeregowych przez Pireneje i Hiszpanię do Anglii. Specjalizuje się na trasach pircnejskich. Po sześciu miesiącach wyrusza w przebraniu marynarza do Syrii, gdzie wstępuje do brygady Karpackiej. Okres życia Bocheńskiego, spędzony w Brygadzie, to rozdział specjalny, który opracować muszą jego koleźy z tamtej opoki: Erdman, Mieczysław Pruszyński, Ulatowski, Bielawski i inni. Spalenie przez niego włoskiej wieży obserwacyjnej, jego rekordowa ilość patroli zaczynając od patrolu, w którym zginął pierwszy Polak w Libii, a jego przyjaciel, pchor. Pieniążek, są w armii nasze sławne. Sam żartobliwie opowiadał po powrocie z Tobruku, że łatwiej mu już teraz chodzić na czworakach niż na dwóch nogach, dzięki tak licznym patrolom, gdzie na czworakach właśnie przywykł wędrować kilometrami wyznaczając miny w piasku.

Do jakiego stopnia dosłownie zasnął tam dżiką odwaga, świadczy drobny, ale charakterystyczny fakt. Ojciec Inocenty Bocheński spotkał w Szkoci kaprala, który został przeniesiony z Libii do Szkoci.

— Czy pan zna wypadkowo mojego brata — spytał Ojciec.

— A jak go dnoś?

— Bocheński.

I kapral nagle nisko się skłonił i powiedział Ojcu, „Bocheński? Ależ to nasz bohater narodowy”. Na końcu kampanii libijskiej Bocheński, odznaczony krzyżem Virtuti Militari i po raz drugi Krzyżem Walecznych, zostaje ciężko ranny. Opowiadał mi kiedyś jak o ciężkiej męce o konieczności leczenia w szpitalu, kiedy oddział jeszcze jest w walce. Teraz nie wytrzymał w szpitalu i ranny wrócił do oddziału, by być ze swymi kolegami „w potrzebie”, by zginąć.

Nie wiem, czy był w wojsku oficer, którego stosunek do żołnierza był bardziej demokratyczny, więcej — bardziej braterski jak stosunek tego „wstępnika”, jak Bocheński lubił się sam żartobliwie nazywać. Jego koleźy opowiadają o tym dziesiątki historyjek.

Kiedy brygada Karpacka wracała z Libii pod Aleksandrię, na wypoczynku, Bocheński, wyznaczony jako kwatrmistrz, wynajmuje na własny koszt Arabów, którzy stawiają namioty jego oddziałowi, żeby się chłopcy nie męczyli i pierwszej nocy nikogo nie wyznacza na wartę przez całą noc, bierze karabin i sam pełni wartę do rana.

W okresie walk przed Cassinem wysłany na patrol na odcinek zaminowany, oświadcza, że sam jest wykrywaczem min i idzie przez cały czas o pięć kroków przed patrolom.

Taki już był Kawaler Maltański Adolf Maria Bocheński — Don Adolfo, jak się w listach podpisywał.

Pod Monte Cassino wyróżnia się znowu. Prowadzi patrol między bunkrami niemieckimi, dochodzi pod sam szczyt zajętego wówczas przez Niemców Monte Cairo, do-



Ppor. Adolf Bocheński

staje trzy lekkie rany, a battle-dress jego jest przedziurawiony kulami w dziewięciu miejscach. Zarzwał, że go podejrzywano w szpitalu, czy nie porobił sobie tych dziur odłamkiem. W okresie Monte Cassino odwiedza go przyjaciel i skromnie mu radzi, by nie robił zbyt wielu wariactw. Na to Bocheński mu odpowiada, że już sobie zrobił w wojsku pewną markę, który musi na tym samym pragnieniem poziomie utrzymać. W akcji pod Anconą zostaje ranny w pachwinę. Pomimo to w przeciągu trzech godzin nie schodzi ze swego stanowiska, potem ranny ponownie w prawą rękę traci przytomność i zostaje przewieziony na punkt przeładunkowy. Odwiedza go brat. Bocheński przyjmuje go z ręką na teblaku. Na pytanie, jak jest z jego zdrowiem, odpowiada z pewną irytacją, że to nie jest interesujące, bo i tak wyleci na minie, tłumaczy jednak bratu, że jedzie teraz na parę tygodni leczenia i pokazuje dwadzieścia tomów swego Gregoroviusa, które zamierza przestudiować do końca. Ale już trzeciego dnia, właśnie kiedy ma być wysłany do szpitala Nr 1, dowiaduje się, że idzie jakieś auto „spowrotem do jego pułku. Nie pytając lekarza, na własną odpowiedzialność, wraca do pułku. Jako specjalista od rozbrajania min, rozbraja je teraz lewą ręką i w chwili kiedy wojska polskie zajmują zwycięsko Anconę, wyłapują jeńców niemieckich i witane są kwiatami, przez ludność — porucznik Bocheński ginie przy rozbrajaniu miny. Śmierć nastąpiła natychmiast.

Ta garść faktów, do których spodziwiałam się, że koleźy z najdroższego mu Karpackiego Pułku Ułanów włożą nam szereg faktów, dalszych szczegółów oraz poprawek, w razie gdyby w to opowiadanie wkładry się nieścisłości — nie sądzę jeszcze całkowitego obciąża Adolfa Bocheńskiego. Może wyjątkowy urok tego człowieka, który powodował, że był naprawdę kochany, przez tak wielu ludzi z najrozmaitszych środowisk i najrozmaitszych formacji umysłowych — polegał na tym, że umiał łączyć wyjątkową świeżość inteligencji, ciągłe rutnowanie myślowe, w którym często trudno było go dogonić rozmowcy, nie tylko z charakterem najwzjętych próby i z głęboką, naprawdę chrześcijańską miłością bliźniego, ale także z jakąś absolutną skromnością i nie opuszczającym go zmysłem humoru. Nigdy nie mówił o sobie, nigdy się sobą nie zajmował, nienawidził gdy mówiono mu o nim rzeczy przyjemne. Dla koleżów i przyjaciół miał uśmiech, dowcip i serdeczne braterstwo. Na dzień jednak był to człowiek smutny.

Tragiczna sytuacja Polski dzisiejsza z był rana jego serca, o której nigdy nie zapominał. Troska nie tylko o Polskę, troska o losy kultury europejskiej była nieustannym leitmotiwem jego rozmów i myśli. Bocheński wiedział o tym już od lata 1939 roku — ani chwili nie ulegał łatwemu złudzeniu — jak daleko losy tej kultury są zagrożone.

Bocheński rozumiał dobrze konieczność wyboru, nawet konieczność politycznych kompromisów, ale należał do tych ludzi, którzy na każdym kroku gotowi są wybrać przed śmiercią niż zafalszowanie, skurczenie tego, w czym widział istotę wielkiej tradycji i wielkiej kultury polskiej.

„Non omnis moriar” — nie zapomną Bocheńskiego jego koleźy bojowi, jego przyjaciele polityczni, jego czytelnicy. Wszyscy, którzy go znali i kochali. Bocheński to kamień z drogiego naszego kruszcu „rzucony na szaniec”.

STRATEGIA I POLITYKA

(Tygodniowy przegląd wydarzeń)

Po tej i tamtej stronie Oceanu wzrosła ostatnio liczba optymistów, którzy w wydarzeniach ostatnich tygodni dopatrują się oznak „początku końca” tragedii wojennej.

Przyznając, że wojna przynieść może wszelkie niespodzianki, nie widzi jednak jeszcze w dzisiejszym układzie sił dozwolenia sytuacji, w której można by marzyć o ustaleniu się pokoju przynajmniej na przeciąg jednego pokolenia. Natomiast, znowu z zastrzeżeniem wielkiej niepewności przewidywać, można obiektywnie stwierdzić przybliżanie się końca tego wielkiego etapu wojny, któremu na imię: wojna obecnej koalicji państw zwanej obozem narodów zjednoczonych z III Rzeszą Adolfa Hitlera.

Sily militarne Niemiec są jeszcze bardzo znaczne. Rezerwy ludzkie nie dają swobody manewrowania, ale przy największym doświadczeniu możliwości zastąpienia pracy wszystkich nadających się do noszenia broni przez jeńców, obywateli krajów okupowanych i sojuszników, kobiety, dzieci i starców — mogą jeszcze na spory czas starczyć. Przeniesi ciężki skutek braku wielu surowców i wskutek bombardowań oświeceniowych urzędów, jakoby pomimo to osiągał rekordy produkcji, wymaga — nieco sceptycyzmu. Jednakże nie mogłoby się ono okazać bez ujemnego skutku propagandowego, gdyby spadek produkcji był jaskrawym. Żołnierz niemiecki bije się dobrze, jego morale wykazuje dużą odporność, co święto stwierdził gen. Montgomery. Kurczenie się broniowego terytorium do obszaru „wewnętrznej niemieckiej forticy” znakomicie zorganizowanego, posiadającego gęstą i trudną do zniszczenia sieć komunikacyjną zapewnia co najmniej korzyść operowania na liniach wewnętrznych: łatwiejszego i szybszego przetrzymywania sił na zagrożonych lub nadających się do przeciwna przeciwnika, niż to może uczynić przeciwnik.

Zacząć jednak działań czynnik, którego pojawienia się można było oczekiwać od pewnego już czasu, a który ujawnia się tak późno dzięki wielkiej dyscyplinie narodu niemieckiego. Czynnikiem tym jest zrozumienie przez czynniki kierownicze, a zwłaszcza sztabowe beznadziejności położenia. Raz ujawniony, czynnik ten musi działać destrukcyjnie na najbardziej nawet odporny naród.

Beznadziejność położenia Niemiec wynika z tego prostego faktu, że ich sily mogą w najpóźszym razie być chronione od szybkiego spadku, ale nie mają żadnych widoków wzrostu. Tymczasem sily przeciwników III Rzeszy wciąż jeszcze rosną i osiągają coraz bardziej niewątpliwą przewagę. Wyraża się ona nie tylko w obliczeniach, ale i w wynikach walk na frontach. Na wszystkich frontach od długiego czasu. I chociaż jest zupełnie możliwe, że Niemcy koncentrując wysiłki na jednym z frontów zdolali by jeszcze wywalczyć błyskotliwe sukcesy, to pewność, że w tego rodzaju zwycięstwie byłoby dla nich zwycięstwem puryssowym, wstrzymuje ich od podjęcia ryzyka.

Na frontach Europy

Ostatni tydzień może być śniutą zaliczony do „czarnych” dla „osi”. Na frontach wschodnim odwrót odbywał się w nie osłabłym tempie, zyskał zaś znaczenie na rozległości, ogarniając nierzuchom przez całe dłuży odcinek od Kowla po Lwów, a także na północny pogranicze Estonii i Łotwy. Wprawdzie penetracja czerwonej armii na teren państw bałtyckich odbywa się w południowej części, a nawet brak dotąd wiadomości o wyczerpaniu się Niemców z od Narwy, przy wschodnim pograniczu Estonii: wszelkie postępy wojsk sowieckich na Litwie i w Suwałkach zagrażają coraz bardziej armii bałtyckiej gen. Lindemanna, na której sily złożyły się wojska oceniana na 40—50 dywizji, agencja zaś Reutersa na 30 dyw. Jest to prawda, że część tych sił została już pokonana.

Przekroczenie Bugu przez armię czerwoną miało miejsce nie tylko w jego głównym biegu, pod Sokalem i Krystynopol, ale także w biegu środkowym, między Kiewem i Czerniem. Nie przypływałyśmy nigdy w tym kierunku żadnego znaczącego trz. linii Curzona jak i innym podobnym fikcją, stwierdzić jednak wypada, że brak deklaracji Moskwy o wprowadzeniu legalnych władz polskich także na zachód od Bugu wymownie ilustruje lojalność i przestrzeganie zasady, nie mieszała się w sprawy wewnętrzne innych

państw” ze strony ZSRR. Nie jest to oczywiście dla nas niespodzianką, jak nie jest nią brak uznania legalnych władz w zajętych przez kraje bałtyckie, w których stały w oficjalnych sowieckich cunajach „sowieckimi republikami”.

W miarę posuwania się czerwonej armii rośnie niepokój o los ludności zajmowanych obszarów. Sądząc z ulamkowych informacji zawartych w komunikatach obu stron można mniemać, że do niedawna władze niemieckie, bądź same ewakuowały ludność opuszczanych terenów na zachód, bądź co najmniej nie utrudniały, raczej ułatwiali ucieczkę. Gdy jednak polityka ta trwa nadal, gdy codziennie opuszczane są setki lub tysiące km kw. o gestym zaludnieniu? Zarówno technika ewakuacji, jak i możliwość wyżywienia ludności oderwanej od zwykłych źródeł utrzymania stwarzają tu zagadnienia bodaj nie do rozwiązania. Ostatnie komunikaty mówią już tylko o ukończeniu akcji powrotu ze wschodu ludności pochodzenia niemieckiego.

Ag. Reuters i P. W. B. donoszą, oczywiście z Moskwy, jakoby ucieczka oddziały sowieckie spotykały się z entuzjazmem zarówno ukraińskiej jak i polskiej ludności. Korespondent New York Timesa pisze, że „Polacy otaczają wysunione oddziały czołgów i dopływają się, w jaki sposób mogliby się dostać do czerwonej armii”. Według innego depeszy chodziło tu o polską armię Berlinga, która zapomniała dodać, że pisze o tym nie opuszczając Moskwy, gdyż obecność cudzoziemców na froncie nie ułatwiała zadań „informacyjnych” władz sowieckich.

W Normandii wojska amerykańskie oparły ważny węzeł drogowy St. Lo, wojska zaś angielskie i kanadyjskie przy nie praktycznym dotąd na podobną skalę podjęciu, lotnictwo sformowały oświeceniowe. Orne i posunęły się na południowy wschód od Caen. Według miarodajnych oświadczeń brytyjskich osiągnięto przebieg głównej pozycji obronnej przeciwnika, ale na niezbyt wielką skalę. Gen. Montgomery oświadczył, że czas na bardziej błyskotliwe zwycięstwa na leżdzie nie może. Nie są to słowa rzucane na wiatr. Równocześnie podano, że sily inwazyjne sprzymierzonych we Francji wynoszą obecnie ok. 40 dywizji. Amerykański wice-minister wojny Patterson ostrzega, że Niemcy zaangażowali dotychczas w walce zaledwie jedną trzecią sił posiadanych na Zachodzie.

Na froncie włoskim równoczesny upadek Livorno i przez 2 Korpus Polski zdobyty Ankonę oraz dalsze posunięcie się naszych i sprzymierzonych oddziałów w bardzo trudnym terenie — to dalsze groźne immentno dla sztabu Hitlera. Wicem. Patterson ocenia, że posiadane przez Niemców we Włoszech 28 dywizji przedstawiają już obecnie siłę zaledwie 14 dywizji, a więc połowę sily pierwotnej.

Swoisty smutek ma wiadomość, że po stronie niemieckiej w pobliżu Pizy stwierdzono obecnie 162. dywizji piechoty, złożonej z obywateli rosyjskich. Natomiast w ramach V Armii walczącej po stronie sprzymierzonych batalion amerykańskich Japonczyków. W ten sposób jest możliwe, że dojdzie do osłabienia wojsk japońsko-rosyjskiej, wszakże w innym niż przewidziano układzie sił.

Nie lepiej powodzi się „osi” na Dalekim Wschodzie, który był takim pocieszeniem opinii niemieckiej w ciągu ciężkiej zimy 1941/42 r. Od dawna skończyły się japońskie triumfy, a nawet ofensywa podjęta przez nich w tygodniach, w których zwyciężyli Chinczi dla wysłania desantów zainicjować chiński dążący do uzyskania wsparcia sprzętem alianckim — uderzenia po osiągnięciu uniwersalnych sukcesów. Na Oceanie zaś Spokojnym przewaga amerykańska rysuje się coraz wyraźniej. Zwiększa wzrost niechętna sojusznikom na tym teatrze, nie tylko opanowanie wysp, ale także z krótkim Nowa Gwinea i półkula wyspy, ale opanowanie wyspy Sipan położonej w arch. Marshalla, pomiędzy wyspami japońskimi a napolejejażającą wysuniętą bieżą japońską — wyspą Truk — zarazem stwarza duże możliwości w zakresie dalszych kroków zaczepnych i dowodzi, że wiele się na tym frontach walczy przez 3 lata zimą. Nie pomóżno pocieszenie opinii japońskiej podważeniem astronomicznej wysokości rekonesansu straci amerykańskich w słabości kół Sipan bitwie morskiej powietrznej. Fakt bowiem, że wkrótce potem Amerykanie dokonali awansu smigacza desantu na wyspę Gau, dowodzi, że straty nie były takie, by miały odbić ich idealizację. Wobec tego domniemy, że pierwszy ministra marynarki i szef sztabu, a następnie całego gabinetu japońskiego, gabinetu gen. Tojo, który przetrwał od jesieni 1931 r., świadczą, że wypadki nie rozwijają się po linii przewidywanej przez władze Kijaju Wschodzącego Słońca.

wych kół wojskowych nie zostanie bez wpływu na społeczeństwo.

Głos ma polityka

Należy przyznać, że zaobserwowane wydarzenia wydają się całkowicie rehabilitować tak często krytykowaną w ich własnej prasie strategię krajów anglosaskich. Kto wie, czy w historii Churchill nie zostanie przykładem racjonalnego geniuszu strategicznego, niż politycznego. Pozorne kunktatorstwo, które stało się przedmiotem tyłu żartów we wszystkich bodaj językach świata, pozwoliło W. Brytanii z położenia bliskiego katastrofy dojść do dzisiejszej zdecydowanej przewagi i widzieć już realnie możliwość zwycięstwa na głównym dla siebie froncie przy umiarkowanych stratach w najcięższym materiale ludzkim.

Ten godny podziwu wynik wojskowy uzyskano oczywiście środkami strategii w najszerszym znaczeniu, a więc także politycznymi. O ile wszakże na krótką metę polityka może być narzędziem strategii, na długą metę jest odwrotnie: prowadzenie i wygranie wojen jest tylko narzędziem osiągnięcia celów politycznych. Tragedia zaś obecnego okresu dziejowego wydaje się nam brak współmierności pomiędzy mistrzostwem taktyki politycznej i strategii po stronie sprzymierzonych a ich ogólniejszą koncepcją polityczną. Ci sami mężowie stanu, którzy wykazywali tyle niezmocności w chwilach wojskowo trudnych, nie mogą się zdobyć na dalekość zezwierać, na odrzucenie oportunistycznej łatwizny. Stąd w chwili, gdy sytuacja wojskowa pozwoliłaby przewidywać możliwość ustania oporu Niemiec w niezbyt odległym czasie — sytuacja polityczna nie pozwala bynajmniej spodziewać się ustalenia pokoju, a nawet każe się obawiać zmarnowania wysiłku tych strasznych pięciu lat. Bo dotąd społeczeństwa rozstrzygających poleg nie mogą uzyskać od swych rządów odpowiedzi, której by nie zaprzeczali fakty, na najbardziej elementarne pytania, a w szczególności na pytanie: o co się toczy wojna i jaki stan rzeczy należy uznać za zwycięstwo?

Odnosi się to oczywiście tylko do potęg anglosaskich, bo pozostałe imperium dobrze wie, do czego dąży i co chce uzyskać. Ale jego zwycięstwo i realizacja jego celów nie oznaczają nie innego, jak brak zwycięstwa innych narodów sprzymierzonych i stały stan wrota w Europie, która przecież będzie musiała bronić swej kultury i swego istnienia.

W dniu 23 bm., już w czasie druku niniejszego numeru, usłyszeliśmy w audycji Polskiego Radia z Londynu treść wywiadu udzielonego przez premiera P. Mikołajczyka pismu „Sunday Dispatch”, o takim brzmieniu:

„Polska nie może sobie pozwolić na luksus walki z dwoma wrogami. Niemcy są naszym odwiecznym wrogiem. Stąd wniosek, że stosunki z Rosją muszą się ułożyć w płaszczyźnie przyjaźni. Prawa pisane są przez ludzi i przez ludzi mogą być zmienione. Tylko prawa moralne są niezmienne. Przyjaźń z Rosją przyniesie nam korzyści z punktu widzenia politycznego i ekonomicznego. W przyjaźni z Rosją możemy trzymać w ryzach Niemcy i nie dopuścić do powtórzenia się wojny. Zyskujemy również szerokie rynki zbytu dla naszego życia gospodarczego”.

Premier oświadczył dalej, że „głównym jest spotkać się ze Stalinem w każdym miejscu i o każdym czasie i przedyskutować wszystkie sporne sprawy bez stawiania jakichkolwiek warunków”.

Nie mając możliwości sprawdzenia, czy nie zasłała tu jakaś polowna mistyfikacja, odkładamy omówienie tego oświadczenia do następnego numeru. Znać jednak nastroje wojska dziś już możemy stwierdzić, że kilokrotnie chciałby odegrać rolę Hachy, kto by chciał imieniem państwa polskiego podjąć rezygnacyjne rozmowy w nadziei na „szerokie rynki zbytu”, znajdzie jednolity opór całego wojska polskiego, reprezentującego dziś nie mogący się wypowiedzieć naród. M. C.

Nie przeszkadza dalszego biegu wydarzeń trzeba stwierdzić, że co najmniej pociągają do obrazy nie do miłośności symptomatyczną. W ich świetle liczące domniemania i plotki na temat rozdziałów w kierownictwie sfer II Rzeszy nabierają barwy i zyskują oparcie. A jeżeli nawet Hitlerowi uda się drażnić opanować w całości sytuację, należy pamiętać, że czas i niepowodzenia wojenne przują przeciw niemu; raz ujawniają opozycję wysoki i facho-

PŁONIE LORETAŃSKA BAZYLIKA

Tego dnia byłem w Karpaczkim pułku ułanów. Ogłądałem niemieckie pobojezniki, rozmawiałem, jak codziennie na tej wojnie, z ludźmi. Z ułanami i niemieckimi jeńcami. Ułani opowiadali o trudnych zwycięstwach, jeńcy o kulach niemieckiej obrony na adriatyckim froncie. Ułani mieli spalone słońcem twarze, jeńcy krwawe rany na nogach od chodzenia pieszo.

Lotnictwa niemieckiego nie widziałem od dawna. W dniach walk o Cassino, czasem przelatywał nad polskie stanowiska niemiecki samolot wywiadowczy. Po takiej dziennej wizycie, w nocy przelatywały bombowce: dwa, najwyżej trzy. Nalot polegał na zrzucaeniu kilku bomb. Ale w sumie niemieckich samolotów prawie nie było.

Aż zjawił się wieczorem w nocy nad Loreto. Nie wiem ile tych Stukasów było. Najwyżej kilka. Bombardowanie trwało jednak sześć godzin. Od dziesiątej wieczorem do czwartej rano. Przew idealnej pełni księżyca.

Nowy, potworny czyn niemieckich barbarzyńców przejdzie do historii tej wojny jako jeszcze jeden dowód zbrodniczości niemieckiej natury, nie cofającej się w aktach zemsty nawet wtedy, gdy chodzi o najcenniejsze dzieła ludzkie w dziedzinie sztuki i kultury.

Sądzę, że ludzie znajdujący się poza zasięgiem adriatyckiego frontu nie bardzo zdają sobie sprawę, jak ten front wygląda. Komunikaty prasowe streszczają się zazwyczaj do podawania zajętych przez aliantów miejscowości i do zawiadamiania, że walki są ciężkie dla obu stron. Trzeba tutaj być, aby zobaczyć, jak te walki dla obu stron wyglądały naprawdę.

Na odcinku polskim frontu wojska niemieckie prawie zupełnie nie miały obecnie pojazdów mechanicznych. Jeńcy, jak już wspominałem, przychodzili z poodparzanymi nogami, w stanie godnym pożałowania. W miasteczkach i wioskach zajmowanych przez Polaków ludność skarżyła się, że Niemcy wycofując się zabierają krowy i wszystko, co jest do jedzenia i picia (wino). Jeńcy opowiadają wszyscy jak jeden, że w ostatnich tygodniach amunicji, cały sprzęt, przewożą na nich... konie i woły. Z chwilą utworzenia „drugiego” a właściwie trzeciego frontu w Europie, wszystkie samochody i inne pojazdy posiadane przez armię niemiecką we Włoszech pojechały do Francji. Żołnierze niemieccy muszą teraz chodzić pieszo. Ponieważ odwrót trwał dość długo, brak pojazdów bardzo, jak można przypuszczać, daje się bogatej armii niemieckiej we znaki. Jeńcy mówią: „Moment odwrótu na tym froncie jest dla nas wprost tragiczny. Wasze cholerne „pancerny” nie pozwalają ani na chwilę odetchnąć. A człowiek, żeby nie wiedzieć jak był silny i wytrzymały, to nie da rady długo uciekać na piechotę”.

Jeńcy niemieccy są bardzo często zawzięci, a prawie zawsze są wychudzeni, obdarci i brudni.

Piszę o tym z powodu bombardowania Loreto. Niemcy opuścili swoje to matę, święte dla całego katolickiego świata miejsce, postanowili zemścić się... na bazylisce loretańskiej i bezbronnej ludności cywilnej.

Była godzina punktualnie dziesiąta wieczorem. Siedzieliśmy ze Stasiem i Zbyszkim w małej restauracji, oświetlonej jedną jedyną świecą. Za oknem płał się w księżycowym świetle plac przed loretańską bazylką. Mówiliśmy o ubiegłym dniu, o pobojewnościach i rannych znajomych. Stał jadt jajejcznie, Zbyszek opowiadał o Londynie, ja myślałem o Libertą, która teraz jest gdzieś na Capri.

W tej chwili nad pierwszymi domkami miasteczka pojawił się niemiecki samolot. Po ulicach posypały się serie z karabinu maszynowego. Nad placem loretańskim z gwizdem przeleciało jeszcze kilka samolotów. Po-

warkocie motorów poznaliśmy Stukasów. Na bazyliskę posypały się bomby. Wybiegałem przed hotel. Płonęły obie kopuły świątyni. Artyleria przeciwlotnicza otworzyła do Niemców ogień. Ale samoloty były już daleko. Słyszeliśmy huk bomb w odległości kilkunastu kilometrów od miasteczka. Ludność straciła głowę. Oł wieków Włoch mieszkający w Loreto wiedzieli, że jeśli grozi im jakieś niebezpieczeństwo, zawsze można ukryć się w murach cudownej loretańskiej Świątyni. Tak było w ciągu wieków, tak było i w czasie całej obecnej wojny. Tym razem, bazyliska przestała być miejscem, gdzie można było bezpiecznie się kryć. Bomby niemieckie spadły właśnie na kopuły i dach cudami stygnącej świątyni.

Obok bazyliki Marii Panny Loretańskiej znajduje się pałac papieski. W pałacu mieszkają franciszkanie i trochę ludności cywilnej. Gdy do Loreto przybyły pierwsze oddziały polskie, żołnierze nasi natychmiast zabrali się do szukania w Loreto śladów Polski. Ogół naszych żołnierzy wiedział, że Legiony Dąbrowskiego bardzo muszą być tutaj dobrze zapisane. Dowiedzieli się żołnierze z zapisów i opowiadań, że w bazylisce loretańskiej składali dary liczni królowie polscy: Sobieski, Zygmunt I, Władysław III, Zygmunt III. Prócz królów modlili się przed świętym Domkiem Matki Boskiej znajdującym się w bawizwe w Loreto: ks. Albert Stanisław Radziwiłł i kardynał Albert, były tutaj z darami i modłami arystokratki polskiej: Katarzyna Zamyska i ks. Ostrońska. W okresie napoleońskim księga darów w loretańskiego archiwum zapisała się setkami nazwisk polskich. Osobno czytamy listę nazwisk legionistów Dąbrowskiego, którzy czy to w czasie walk we Włoszech, czy już w czasie powrotu do domu przychodzili przed najświętsze loretańskie ołtarze i prosili Pana w Niebieskich i Matkę Jego Najświętszą Loretańską o szczęśliwą drogę do domu. A po-

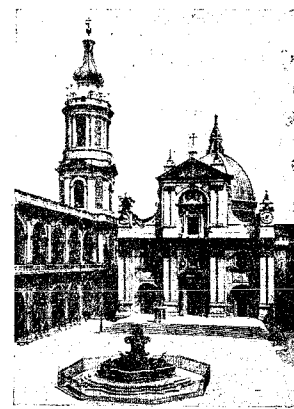
tem były powstania i tysiące innych polskich cierpień. Polacy znowu tłumnie zapelniali Loreto.

Dziś przybyliśmy my. Na ścianach domów wielkiego duchem a maleńkiego murami miasteczka pojawiły się napisy „V. POLACCI”. Ludność spotyka Polaków ze łzami i kwiatami. Przeor Franciszkanów witał dowódcę Polskiego Korpusu jak wybaciciela i zwycięzcę.

Niemcy o tym wszystkim musieli się dowiedzieć. W nienawiści do nas i do ludzi, którzy nas serdecznie witali i gościnnie przyjmowali, postanowili zniszczyć bazyliskę i miasto. Wojska na terenie bazyliki ani pałacu papieskiego nie było.

... Jest godzina jedenaasta. Przekleję księżkę pozwała na czytanie gazety. Samoloty niemieckie chodzą jak oszale. Dowiadują się, że jeden został stracony przez artylerię przeciwlotniczą w pobliżu miasta.

Polskie sanitarki pod ogniem niemieckim ratują rannych i zabitych.



Bazylika Loretańska

PRAWA RĘKA

Kiedy przysłała wiadomość, że Tadzio Sowiński jest ranny, że jest ranny w udo i w rękę, pierwsze pytanie przez wstrząśniętych przyjaciół brzmiało:

— Która ręka? Prawa czy lewa?

Niestety odpowiedź wypadła nieprzychylnie:

— Ręka prawa...

Jeszcze przed paru dniami podziwialiśmy razem strone brzozi plaży w Sorrento, płynęliśmy łódką pod wiatr Benedetto Croce, jedliśmy w pensjonacie „Dania” małe włoskie ryby, piiliśmy włoski koniak z dużą ilością lodu i cytryny i zachwycałymi się tym. Życiem, które jednogłośnie uznane było przez nas czterech za najpiękniejsze zjawisko, z jakim zetknęliśmy się dotychczas.

My, to znaczy: młody poeta, „Goniec Świata”, o mełym snopczem i o rozwichrzonych włosach; Gustaw, bardzo młody

i bardzo zdolny krytyk literacki, Tadzio — poeta — malarz i wreszcie niżej podpisany, którego sprakowane włosy dziwnie odbijały na tle wyzywającego młodego otoczenia.

Nie wiadomo, co było główną przyczyną naszego załwy nad pięknem życia. Może lazurowość zatoki Sorrento, która malarską wyobraźnię Tadzio doprowadzała aż do ekstazy.

Nie wypuszczał szkiełownika z rąk i prawą ręką, właśnie prawą, szkiełował, co mu wpadło w oczy. Strone brzozi Sorrento, pałac „duchów”, sylwetki Filiny córki właściciela pensjonatu i w ogóle wszystko, co mu się podobało. A że podobało mu się wszystko, więc prawa ręka ciągle była w ruchu.

Przed wojną... Najpierw szkoła dziennikarska... Nie skończył jej... To nie to, że-

Same kobiety i dzieci. Kilku starców. Około dwunastę przyjeżdżającą z pompami polsey saperzy; żołnierze polscy wchodzą na płonącą kopułę. Samoloty zrzucają dokoła bomby. Ratować bazyliskę w tę noc mogli tylko Polacy. Około 7 rano saperzy pożar zlikwidowali.

Nalot na Loreto trwał sześć godzin. Niemcy spalili obie kopuły świątyni i w dachu wybili dwa otwory. Jedna bomba przebiwszy dach nad świętym domkiem poleciała ukosem i wpadła do... niemieckiej kaplicy; domek Matki Boskiej Loretańskiej od wisków słynie cudami. Po tej bombie wszyscy, którzy to widzieli, zawdzięczają Matek Boskiej jeden cud więcej...

Wstaje blade światło. Ludność, która całą noc płakała, wychodzi powoli z piwnic i schronów. Na ulicach leżą niemieckie niewypały i małe termitowe „myszki”, które spłonęły w kamieniach jezdni. Na drogach wiodących z Loreto pojawiają się pierwsi ludzie przenoszący się dalej od frontu. Na dwukółkowych wózkach jedzie cała biadałki dobytek. Zakonnice prowadzą płaczące dziewczynki. Dzieci idą boso. Płacz. Dziś już nie będą w Loreto. Ale Niemcy korzystając z pełni księżyca będą na pewno znowu. Jakaś matka całuje swoje śliczne bambino. Ojca nie ma, dzieciaki jeszcze w kłasztorze, w sierocińcu. Teraz matce, która w Loreto zostaje, dzieciaki uprowadzą w bezpieczniejsze miejsce. Tak musi być; malenka Carla patrzy ślicznymi błękitnymi ślilkami na płaczącą matkę i nie nie rozumie.

Pod ścianami pałacu papieskiego leżą zakrwawione szmaty. Tutaj umarł starszek trafiony wielkim oddaniem. Niemcy swoje zrobili.

Nalot na Loreto został sfilmowany w ciągu całej nocy przez operatorów polskich. Zdjęcia te powinny możliwie najszybciej obieć całej cywilizowanej świat. Zdjęcia przedstawiające niemieckie samoloty bombardujące Bazylikę Matki Boskiej Loretańskiej.

Jerzy Bazarewski

go szukać... Za mało w tym sztuki, za dużo rzemiosła.

Potem: Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej, Akademia Sztuk Pięknych, teatr, praca dekoratorska... Będzie się można wreszcie wypowiedzieć.

Nie zdążył. Wojna... wrzesień... Tobruk... Gazala... Cassino... Oficer zwładowczy pułku artylerii... Wzrost postanowieniem stał się rzemieślnikiem. Pochłonięto go rzemiosło wojenne, które użyczyło za jedyną uczelnię rzemiosło na czas wojny.

Sztukę odsunął na bok, ale nie zerwał z nią. Trudno wypowiedzieć się po malarstwu, kiedy nie ma pod ręką stalugu, pendzli, farb i płótna.

Tadzio zaczął pisać wiersze. Dopiero teraz w ogniu. Powstał tomik poezji „Zwrotnik Wilkołaka”.

Kiedy mu gratulowano doskonałego wiersza, napisanego po bitwie pod Cassino, Tadzio skrzywił się:

— Wam się nie wiersz podoba, bo to jest wiersz polityczny. A ja nie lubię politycznych wierszy. Jest w nich nieunikniony patos. Nie znoszę patosu.

Nie znoszi patosu i nie było go w wierszach Tadzio. Jak nie było patosu w jego sylwetce, do przesady skromnej, zażenowanej, lekającej się huku pochwał, huku szumnych frazesów i tramtandrach wybuchów.

Nie leżał się tylko huku armat. Przyzywał się. Od pięciu lat bez przerwy pracował w tym rzemiosle.

Szkiełownik schował na dno chlebaka. Sorrento zostało w tyle. Pochłonięto go jedno: ogniem.

Na stanowisku dostał się w nawałę nieprzyacielskiego ognia. Rana prawego uda i ręki. Pracej ręki.

Kochany Tadzio! Nie wiemy, gdzie teraz jesteś, nie znamy numeru poczty polowej. I dlatego w imieniu przyjaciół piszę zamiast listu felieton.

Marliwmy się bardzo o Twoją prawą rękę... Modlmy się, żeby wróciła do zdrowia.

I nie tylko dlatego, że jesteś Twoimi przyjaciółmi, ale dlatego, że jesteś Twoimi przyjaciółmi piękna.

Piękna, którego coraz mniej na świecie i do tworzenia którego trzeba więcej prawych rąk. Takich prawych rąk, jak Twoja.

Sądek

ITALIA BELLA

Gdy wzdłuż wojennej drogi słodkie czarnoksiążki
Przejęzyczne, jasne barwy przed nami rozświecała
Wstrzymujemy nasz pochód. Zachłamt oczy wstęp.
I usta same szepczą: O, Italia bella.

Dzień przebiega nam drogę kłutągnągrodem
I odurza zapachem i w słodka się mieni
A noc — smagła taneczka tańczącym pochodem
Opłata nas furia księżycowych cień...

I nie już teraz nie wiem, nie rozumiem, miła —
Czy to się w oczach Twoich mienią dzienne światły
Czy się niebo tak nagle nad nami schyliło,
Czy twarze nam przestawit błękitny Adriatyk.

Odziedziłm zwód łody w świat wojną szumiącą
Zapadłm w ten arak, który trzeba nijać.
I tylko to ślad nam biegnie śpiew sześciem goręcy
...Vivere, vivere, senza nostalgia..."

Jan Olechowski

TANIEC-SZTUKĄ NARODOWĄ

Gdy na którymś z postojów piszący natknął się na wiedeński w trybunie księgarskiej książkę Arnolda L. Haskella pt. „The national ballet — a history and a manifesto” (Balet narodowy — rys historyczny i manifest) wydanej w Londynie, r. p. 1943, doznał swego rodzaju wstrząsu. Strębił by go można w jednym zdaniu: „Jako, ledwie czterech lat wojny trzcha było, aby Anglii mogli występować jako rzeźnicy sztuki, w której tak niedawno zaczęli stawiać pierwsze kroki”. Poza przodującymi ostatnio w sztuce tanecznej Rosjanami i niejednokrotnie im dorównującymi tancerzami polskimi rolę swą odegrali już Francuzi i Włosi, udział mieli Hiszpanie, Szwedzi, Austriacy, Duńczycy, czy Łotysze, Niemcy z miernym skutkiem starali się wyrobić sobie pozycję, ale o Anglosasach nie było jeszcze wiele mowy.

Z tym wstrząsem w świat wojennej rzeczywistości i przeżyć wtargnął prad wspomnień z odległej, bo co najmniej przedwojennej przeszłości. Tracił strunę, która od dość długiego czasu zupełnie zamilkła.

Czasz są tak pełne różnorodnych wrażeń, jeśli nieawskazywać, to w każdym razie mocno absorbujących, że całe to zdarzenie mogło się rozwinąć w chwilę zadumy, gdyby nie pewna refleksja: przecież siłą wspomnianego szkoku nieurzę by można sukces wroga w zakresie odwożenia nas od normalnych zainteresowań. Czegoż bowiem, poza dozbaczaniem wojennymi, poza brutalnym niszczeniem substancji narodów ujarzmianych, Niemcy pragną bardziej, jak zepchnięcia nas z dotychczasowych szlaków cywilizacyjnego dźwignia się, jak poniżenia nas kulturalnego, jak nawet pozbawienia nas wszelkich ambicji w dziedzinie szlachetnego współzawodnictwa artystycznego. Przecież mniej lub bardziej mimo woli dołali taki wynik uzyskać we własnym kraju i własnym narodzie.

Pokonując uprzedzenie, jakoby w tak ciężkich dla nas czasach jak obecne nie miało już być miejsca na sprawy tak białe, jak los sztuki scenicznej tak często lekceważonej, należało więc — jak gdyby nigdy nie — zająć się losami sztuki tanecznej w ogóle, a baletu polskiego w szczególności. Choćby dlatego, by zdać sobie sprawę, że przecież i na tym skromnym poziomie odcinku nie zamierzamy z niczego zrezygnować. Powiedziałem „możemy”, bo w dziedzinie czystej sztuki nasze kategorie myślenia, z praktycznego życia wzięte, bardzo często zawodzi. W przekonaniu tym przetwarzanie książki Haskella mogłoby każdego tylko jeszcze bardziej utwierdzić.

Wśród sztuk będących naszym, Polaków, udziałem, są takie, które kulturowo niejako na równi z innymi narodami i są takie, do których mamy — jak się zdaje — szczególne skłonności i zdolności. Mamy wielką literaturę i poezję, dobre i interesujące malarstwo, słyszymy i słysząc będziemy zapewne nadal po wojnie z doskonałym teatrem dramatycznym, w muzyce poza wysokim tego rzędu co Szopen dotrzymywaliśmy umiemy kroku innym krajom, w filmie wreszcie dochodzić zaczęliśmy przed samą wojną do przynajmniej poziomu.

Alle jest m. inn. taka sztuka, która choć młoda u nas długie tradycje i piękne osiągnięcia, uzyskiwane na ogół pod obcymi firmami i na korzyść innych, dzięki niedobrym jej przez nas, lekceważeniu lub nie dość troskliwej opiece i jeszcze kilku innym grzechom głównym — nie potrafiła do ostatnich czasów należycie się rozwinąć. Nie mniej jednak uważana być może i uważana bywała za najszlachetniejszą przedmiotów do tytułu sztuki na wskroś polskiej, naszej, narodowej. Mamy tu no myśli taniec artystyczny, sztukę taneczną w jej wielokolich postaciach, więc i to, co w swej zespołowej, scenicznej, najpiękniejszej postaci nosi potocznie miano baletu. Nazwa ta często rozszerzana jest na całą sztukę taneczną, choć bynajmniej całego jej zakresu nie wyczerpuje i stanowi tylko jedną z jej odmian niewątpliwie najważniejszą.

Nie czas na wyczerpujące rozważania nad estetyką tej sztuki, jej podłożem psychicznym, znaczeniem dla naszej kultury piękna i kultury ogólnej. Nie bez znaczenia jest tu współudział wielu elementów artystycznych: malarstwa, muzyki, poetyki, aktorskich, czy ogólnie mówiąc dramatycznych w widowisku baletowym, wreszcie bliski związek tej sztuki z naszym folklorem, obyczajem ludowym

i historycznym, z naszą tradycją przekazaną w jej najbardziej nieuchwytnych elementach. Wystarczy nam musi przypomnienie, że w ostatnich latach wojny rozwijał się u nas coraz szerzej pod młodzieżą do tej sztuki, że znajdowało to nawet — czasem nieco opacznie — zrozumienie w sferach decydujących, że sztuka ta sposobista do co spełnienia własnych zadań narodowych w zakresie propagandy, jako że taniec jest istotnie i zawsze był obok muzyki najlepszym, jeśli nie jedynym, językiem artystycznym dostępnym dla narodów o najbardziej odległych mowach.

Taniec jest też sztuką, która dzięki swym wybitnym znamionom rozrywkowym, nieczar przylatczającym jej cechy artystyczne, mieć jeszcze może znaczenie w przyszłości.

Powstanie nadto po wojnie kwestia wyzyskania tych sił twórczych tkwiących w narodzie polskim i różnych jego żywiołach, a przejawiających się jakże często i jakże bujnie w różnych dziedzinach sztuki, czy tylko przemysłu artystycznego. Można tu wylizywać całą gamę uzdolnień artystycznych. Nawet produkując przednie bekony, dobry węgiel, pożydane przetwory rolne, wyroby włókiennicze, czy drezwne, znajdujemy się w sytuacji, w której okaza się, że produkować możemy tanio i dobrze wartościowe i poszukiwane wyroby artystycznego przemysłu, sztuki i wychowywać odpowiednie szeregi artystów. Ten produkt w lepiej uporządkowanym ekonomicznie świecie znaleźć może dla siebie dobre warunki zbytu i stać się niezbędną okrasą życia, którego wdzięk i czar zagrożony będzie coraz silniej przez wielką przemysłową technikę i jednostajność rozplanowanego życia w wielkich skupiskach.

W tym samym kierunku idą m. inn. wnioski ze statystyki zatrudnienia w takich Stanach Zjedn. A. P., gdzie... „wzmagające się możliwości czasowo dla wszystkich uczynić mogą i muszą więcej miejsca nie tylko dla tych, co produkują chleb lub żelazo, ale także dla tych, którzy świat upiększają...”.

T na tej drodze i trudno nie dojść do wniosku, że istnieje konieczność troski o odbudowę i rozbudowę, o przygotowanie się co najmniej wewnętrzne, cokolwiek by nas dziś musiało absorbować, do odbudowy... i tej sztuki, która ma najwięcej, naszym skromnym zdaniem, danych do miana sztuki nawiąskowskiej polskiej, narodowej, sztuki tanecznej, polskiego baletu, sztuki tkwiącej głęboko w tradycjach obyczajów ludowych, i tradycjach naszych scen operowych i baletowych, w temperamencie naszej młodzieży artystycznej, rekrutującej się ze wszystkich warstw społecznych, w czym duży udział ma też młodzież żeńska, której zatrudnienie po wojnie będzie w całym świecie tak wiele trosk i kłopotów, wreszcie sztuki chyba najbardziej dostępnej dla reszty świata, sztuki mogącej propagować nasz dorobek w wielu innych dziedzinach naszej działalności artystycznej.

Echa tych wszystkich myśli znaleźć możemy we wspomnianej już książce Haskella o angielskim baletie narodowym. Komu potrzeba obcych proroków, temu nazwisko to powinno dogodzić, ile że należy ono do bodaj najwybitniejszego krytyka baletowego brytyjskiego, który nie szczędził nie tylko słów uznania, ale i słów sprawiedliwej krytyki dla naszych poczynąń przedwojennych, podczas pobytu w Londynie (zw. reprezentacyjnego „Baletu Polskiego” w r. 1937, a który potem w r. 1940 w bombardowanym Londynie wydał książeczkę zbiorową pt. „Balet to Poland” (Balet Polsce), zawierającą szereg artykułów i rozprawek wybitnych przedstawicieli baletu angielskiego napisanych w hołdzie bohaterstwu polskiemu.

Haskell przypisuje baletowi wyraźnie dwójką misję: najpierw niesienia godziwego rozrywki artystycznej, której potrzeba, znaczenie i wartość oceniono i uznano zwłaszcza w czasach najbardziej ponurych zniszczeń wojennych. Dlatego też wyrażając się tak bliskim każdemu Anglikowi językiem marynarzy — powiada: „...choć pokłady uprzągnięto do walki, baletu nie wyrzucono za burtę” i dodaje, że „...jeśli rozrywka jest koniecznością, to typ rozrywki, który dostarcza wrażeń muzycznych, dekoracyjnych, dramatycznych i tańca, ma pierwszorzędą wartość”.

Tenże przedstawiciel narodu marynarzy nie zapomina, iż jest on również narodem kupców, wysuwa zaraz drugie

zadanie misyjne, mówiąc: „Balet jest na pewno najłatwiejszym sposobem eksportu sztuki narodowej, może nieco powierzchownym, ale nie mniej mogącem tej torować drogę do koncertu i wystaw. Uwagę Anglików na rosyjską muzykę, malarstwo i nawet literaturę zwrócił na siebie taniec z lat 1909-1913, w których nie brakowało talentów tej miary, co Polacy Niżyński a potem, Idzkowski, Stawiski, Wojcikowski i inni.”

Swe znaczenie propagandowe balet zaważdzając zaś faktowi, że „...jest jedynym powszechnie zrozumiałym językiem scenicznym”, co ponoć zrozumiał bodaj pierwszy wśród mężów stanu — wielki kierownik francuskiej nawy państwowej — kardynał Richelieu przed trzema wiekami.

Na podstawie doświadczeń i dotychczasowych osiągnięć baletu angielskiego Haskell nie tylko ma jasny pogląd na sprawę, ale i wyraźny plan działania na dziś i przyszłość. I to pomimo, że sztuka ta ma w jego kraju nie półtorawiekową, jak u nas, tradycję, lecz — jak skromnie przyznaje — zaledwie trzydziestoletnią, bo „historia baletu angielskiego zaczyna się od Pawłowej i Diaglewa”. Te sprawy organizacyjne, jakkolwiek bardzo pouczające, wypada tu pominąć, gdyż zrozumiałe mogą być raczej dla osób bliżej nimi zainteresowanych. Ogólnie ważnym jest natomiast nacisk, jaki kładzie na sprawę kulturowania tradycji w wyszkoleniu, technice i propagowaniu własnego stylu baletowego. Warto zacytować tu kilka jego aforyzmów w tym względzie: „Tradycja jest żywiołową siłą baletu. Przerwij ciągłość baletu na 15 lat, a zabijesz go nieodwołalnie. Skutek będzie taki, jak po spaleniu całego zbioru nie ogłoszonych druków rękopisów. Balet rozwija się dzięki ewolucji, a nie rewolucji”.

A postulaty, jakie winien spełnić balet, aby miał charakter narodowy, Haskell sformułował w następujących 7 punktach: Balet narodowy winien 1) posiadać stałą siedzibę i to w kraju rodzimym, 2) posiadać własną scenę, 3) własną szkołę przy scenie, 4) większość personelu kierowniczego i artystycznego zespołu rekrutować się powinna z obywateli rodzimego kraju, 5) posiadać plan działania, polegający przede wszystkim na zmontowaniu własnego repertuaru zależnego z utworów klasycznych i repertuaru dorywczego z utworów modernistycznych, unikając przy tym szowinizmu, polegającego na snobizmie i w twórczości wyłącznie rodzimego pochodzenia, nawet jeśli posiada poślednią wartość artystyczną, 6) mieć zapewniony ciągły byt, najlepiej jako instytucja o charakterze społecznym, więc ani czysto prywatne przedsiębiorstwo, ani zaletowywająca instytucja państwa, wreszcie 7) powinien rzeczywiście odgrywać poważną rolę w życiu artystycznym swego kraju.

Czyżby te i tym podobne rzeczy były dla nas Polskóh zupełnie nowe, nieznane? Bynajmniej. Nie potrzebujemy sami sięgać pamięcią w przeszłość, bo przypomina nam je sam autor, gdy zastanawia się nad tym, ile w baletach narodowych winno być tematyki narodowej i nawiązań do tradycji tych zbóżczy sztuki narodowej. Przy tej sposobności pisze on: „Polski Balet, utworzony na krótko przed wojną, usiłował oprzeć swój program na czysto polskiej twórczości — muzyka, dekoracja, temat, choreografia — dalo to jednak wynik niepoślednio nudy” (Str. 33). Zdanie to wymaga dziś wyraźnej odprawy, choć daje ono — wątpliwej wartości — satysfakcję przewidywaniom przyszłości. Faktom jest bowiem, iż na dwa lata przed powstaniem reprezentacyjnego Baletu Polskiego pod dyktando Szymanowa w r. 1937 na lamach prasy stołecznej pojawiły się już rozważania na temat tego, co należy zrobić dla ugruntowania polskiego baletu. I sprawa programu szkolnego i kwestia organizacji sceny były tam szczegółowo omówione i w dużym stopniu pokrywały się z obecnymi wywodami Haskella. Był więc „plan działania”, ale nie znalazło się należyte „wykonanie”.

Gdy wreszcie inicjatywa podjęta przez poetę Lechonia w końcu r. 1936 znalazła odzew w kołach mairadnych, dysponujących niezbędnymi na tem cel środkami, uznano, że nie czas na budowanie rzeczy gruntowniego podziału, lecz że trzeba zrobić z tego, czym się dysponuje, rzecz dorywczo najpotrzebniejszą — balet propagandowy. I tak po zaledwie półrocz-

nej intensywnych pracy udało się zorganizować znośny zespół i zmontować repertuar, który razem składał się na „Balet Polski”. Ale w tych warunkach powstania nie mógł on rościć sobie pretensji ani do miana narodowego baletu, ani też poważnie konkurować z innymi zagranicznymi zespołami o wyrobioną sławę.

W tej dorywczości jego powstania leżała też przyczyna hraków, które musiały razić nie tylko p. Haskella i złożyły się na to, co nazwał on może zbyt generalnie „nudą”. Gdyż w żadnym razie nie można się zgodzić na twierdzenie, jakoby przyczyną tych braków był fakt, że na całość składała się wyłącznie twórczość artystów polskich. Tym bardziej zdanie to jest błędne, iż cała choreografia, rzecz najważniejsza w widowisku tego typu, wzięła w swe ręce p. Bronisława Niżyńskiego, siostra słynnego Wacława, dawna baletmistrzyni zespołu Diaglewa, która w dużej mierze zatraciła żywe poczucie tego, co w tańcu jest właściwie polskie. Polska muzyka symfoniczna, polska sztuka dekoracyjna, polska poezja i polskich tancerzy stałaby już wtedy na wynik bardziej chwalebny. Nie przeczy to prawdzie, iż zespół narodowy, dysponujący dość mocnym repertuarem rodzimym nie straci, tylko zyska, jeśli włączy się do ogólnego nurtu sztuki i przyswoi sobie najcenniejsze pozycje repertuaru klasycznego, lub włączy do swoich programów wybitne utwory obcych modernistów.

A co uczynić, aby wyratować balet, jako sztukę narodową, podczas wojny? Oto jak Anglicy starali się na nie odpowiedzieć: „Na początku wojny — pisze Haskell — kilku życzliwych przyjaciół baletu wysunęło myśl, że tancerze powinni być zwolnieni od służby wojskowej. Wskazywali oni przy tym na dużą rolę, jaką odgrywa balet w dziedzinie utrzymania ducha i na to, że powołaniem do wojska wyrządza się tancerzom wielką niesprawiedliwość, gdyż kariera ich ogranicza się właśnie do tych niewielu lat ich młodości, oraz że zwolnienie obejmowałoby stosunkowo niewielką liczbę kandydatów. Aczkolwiek argumenty te nie były pozabawione słuszności, to jednak rozbiły się one przede wszystkim o niechęć samych tancerzy i o ten wzgląd, iż przynosiłoby to wielką ujmę samej sztuce baletowej, gdyby widziano wybitnie zdrowych młodych ludzi stroniących zupełnie od kryzysu, jaki przeżywa cały świat cywilizowany.”

Toteż: „Z wyjątkiem drobnej grupki tancerzy, którzy uznali za rzecz najważniejszą propagować balet angielski na scenach amerykańskich, wszyscy członkowie brytyjskiego baletu narodowego (mowa tu o londyńskim zespole Saddlers' Wells pod kierunkiem Ninette de Valois-urodzonej Edris Stannus) służy w wojsku”. Dotyczy to porówni mężczyzn jak i kobiet powołanych do różnych służb. Za tym przykładem poszły i inne zespoły, jak o tym świadczy dedykacja zawarta w przedmowie do książki, poświęcająca ją „wzrastającym nieustannie liczbie młodych tancerzy i tancerzy ze wszelkich zespołów angielskich, służących obecnie w wojsku”.

Mimo takiego stanowiska młodzieży niezbędna ciągłość w pracy artystycznej została zachowana. Cechujący Anglików „duch zespołowości” tu nie zawodzi. „Członkowie baletu narodowego — ciągnie dalej autor — okazali się dobrymi członkami swej miniatury wspólnoty narodowej. Szczególnie cenna okazała się lojalność tancerzy, dziś służących w wojsku. Przed wojną trzymali się zespołu, choć mogli więcej zarobić w innym przedsiębiorstwie handlowym. Żołnierze zaś armii częściej spędzali potem cały swój urlop na występach na scenie. Bez tego lojalnego oddania cały balet dawno by się już rozpadł i nigdy więcej nie odrodził”.

Niestety, nie możemy w pełni skorzystać z tej formuły dla ratowania naszego baletu, jako sztuki narodowej. Dając niedlegzysk nurka w świat rozważań tak odległych od naszych codziennych zajęć i otaczającej rzeczywistości mogliśmy jednak przyswoić sobie nieco wiadomości i sugestii, które we właściwym po temu czasie mogą przynieść bardziej konkretny, i bezpośredni pożytek artystyczny. Może też ułatwi nam to otrząsnąć się z myśli, iż po wojnie stanęmy do walki z konkurencją zupełnie do tego nie przygotowaną i beznadziejną, zdystansowaną... ale przecież nie zrezygnowaną.

On.

DĄŻĄ DO JEDNOŚCI

W artykule p. N. Malinina p. t. „Odpowiedź amerykańska obrocom polskiego imperializmu” („Wojna i klasa robotnicza” nr. 7) czytamy o tych, oczywiście „reakcyjnych”, „izolacjonistycznych”, „profaszystowskich” kołach w Ameryce, które nie pochwalają zamiaru oddania połowy Polski Sowietom, że: „Kola te są zawsze gotowe podchwycić i wyzyskać każdą okazję dla wzmocnienia swej agitacji antysowieckiej i podkopania jedności wysiłku wojennego nie oglądając się na istotną wartość tej okazji”. Wiemy zresztą, że sam fakt naszego niepoddawania się propozycjom nowego rozbioru jest stałe przez sowiecką i pro sowiecką prasę przedstawiany jako „rozbijanie jedności obozu sojuszników”.

Jedność tego obozu uważamy za ważny warunek zwycięstwa i z pewnością ofiary Polski na rzecz utrzymania jedności nie są mniejsze niż innych narodów sprzymierzonych. Nie uważamy jednak w szerokiej jedności za cel jedyny czy najwyższy i dlatego nie zamierzamy propagować poświęcania naszych żywotnych spraw, czy interesów choćby najdrobniejszego narodu na ołtarzu scementowania harmonii między imperiami, które również nie wykazują skłonności do poświęcania na rzecz jedności własnych interesów. Zachowujemy przy tym staroswiecki pogląd, że właściwą drogą do harmonii jest usuwanie prawdziwych przyczyn jej zakłócenia, choćby tak niewinnych jak zabór ziem sąsiada, nie zaś utrudnianie obrony zagrożonych praw czy zagrożonego bytu.

Ciekawe jest jednak, jak właśnie imperium, które wykazuje taką subtelność i dbałość o zachowanie harmonii, przyczynia się do wzmocnienia we własnym społeczeństwie braterskiego zaufania do sojuszników.

Tak się złożyło, że w tym samym numerze poświęconego, jak wiadomo, specjalnie zagadnieniom polityki zagranicznej dwutygodnika „Wojna i klasa robotnicza”, tuż przed artykułem p. Malinina, szermującym zarzutem „podkopania jedności”, zamieszczono artykuł K. Hofmana p. t. „Monopole międzynarodowe a wojna”. Z artykułu tego przytaczamy ciekawe ustępy;

„Zagadnienie roli monopolu i karteli międzynarodowych a także ich wpływu na gospodarkę, politykę i dalsze wysiłki wojenne krajów anglosaskich zyskują szczególne znaczenie w decydujących fazach wojny. Im wyraźniej rysują się widoki ostatecznego pogromu Niemiec, tym bardziej kółła Wall Street i City, gdzie zbierają się i przeplatają nici międzynarodowych związków finansowych, przemysłowych i handlowych — przejawiają zainteresowanie dla zagadnień po wojennego układu stosunków. Wśród projektów urzędowania świata po wojnie ogłoszonych w ostatnich miesiącach przez angielskich i amerykańskich ekonomistów widoczne jest dążenie tych lub innych grup monopolistycznych do rozszerzenia ram swojej działalności i sfery wpływów w świecie po wojennym. Dużo uwagi udziela się przy tym pytaniu o losie monopolu niemieckiego i roli karteli międzynarodowych w powojennej gospodarce Niemiec.

„Rozważanie tych wszystkich zagadnień odbywa się na tle zastrzeżeń i walki konkurencyjnej pomiędzy największymi monopolami Starego i Nowego Świata. Przy całym ogólnym zainteresowaniu w zwycięstwie nad hitlerowskimi Niemcami i ich blokiem, grupy monopolistyczne walczą każda dla siebie o kontrolę nad rynkami światowymi, oraz źródłami surowców i przeważającego wpływu w handlu międzynarodowym. Wojna i jej zwycięskie zakończenie, to dla nich przede wszystkim utrwalenie sił i potęgi reprezentowanych przez nie karteli”.

Po przedstawieniu przeciwności interesów mocarstw anglosaskich w

zakresie komunikacji morskiej i powietrznej oraz zreferowaniu głośnych projektów ekspansji amerykańskich przedsiębiorstw naftowych na Środkowym Wschodzie, autor ciągnie:

„W Anglii zdają sobie jasno sprawę, jak wielkie przesunięcia w stosunku sił na Bliskim Wschodzie mogą zająć wskutek dalszego rozszerzania sfery działania monopolu amerykańskich. Według doniesienia „New York Times” z 13. II, angielskie towarzystwa naftowe rozpatrują sprawę budowy dwóch nowych naftociągów uzupełniających istniejący rurociąg irański do Kirkuku (rejon Mossulu) dla Haifi. Ten plan ukazuje się jako odpowiedź na inicjatywę amerykańską. Jeden z nowych rurociągów zszicowawany przez Anglików ma połączyć brytyjski przemysł naftowy w Iranie z Haifą przez Abadan, drugi zamierza się przeprowadzić równoległo do istniejącego rurociągu Kirkuk-Haifa. Szczegóły tych projektów mają być omówione podczas pertraktacji, które będą prowadzić w Stanach Zjednoczonych wystąpi tam rzeczoznawcy brytyjscy.

„W przeddzień tych rozmów londyński „Times” wystąpił ze znamiennym artykułem, w którym podkreśla, że Bliski Wschód ma dla W. Brytanii żywotne znaczenie i że nie ustąpi ona tam nikomu swego stanowiska. „Gdyby po wojnie — pisze gazeta — W. Brytania pozwoliła krajom Bliskiego Wschodu wpaść pod przeważający wpływ innego wielkiego państwa — polityczna mapa świata uległaby gruntownym zmianom. Wykreśliłby się Bliski Wschód W. Brytanii musiałaby automatycznie wyrzucić się Morza Śródziemnego, które jest dla Anglii drogą na Wschód. Źródła zaopatrzenia Anglii w ropę leżałyby wówczas poza granicami obszarów znajdujących się pod jej rzeczywistą kontrolą”.

„To oświadczenie „Times’a” daje obraz stanowiska, które zajmie Anglia w rozmowach ze Stanami Zjednoczonymi o źródłach naftowych Bliskiego Wschodu. Według mniemania licznych organów prasy angielskiej rozwiązanie zagadnienia ropy drogą porozumienia między obydwioma towarzystwami naftowymi Anglii i Ameryki staje się główną przesłanką rzeczywistego rozwoju międzynarodowej polityki handlowej w okresie powojennym.

„Dyskusja naftowa wykazała, że w sprawie karteli i ich roli po wojnie punkty widzenia angielskich i amerykańskich ekonomistów są rozbieżne. Anglię za nielicznymi wyjątkami wyprowadzają się za pozostawieniem przedwojennych form kartelizacji i niezłomnym odrodzeniem międzynarodowych związków kartelowych po zakończeniu wojny. W Ameryce tego punktu widzenia bronią ci tylko ekonomiści, którzy wyrażają interesy amerykańskich monopolu związanych porozumieniami kartelowymi z monopolami angielskimi i innych krajów europejskich. Wśród pozostałych liczną grupę wyprowadzają się na korzyść rozwoju współpracy międzynarodowej, spodziewają się jednak, że powinna ona odbywać się nie w oparciu o stare kartele, ale drogą „wolnej konkurencji”. Do konkurencji tej powinny się włączyć i grupy amerykańskie, znakomicie wyrosłe i umocnione na rynku wewnętrznym dzięki ogólnym zamówieniom wojennym rządu.

„Te umacniające się w Stanach Zjednoczonych tendencje w sprawach kartelowych wywołują niepokój i zakłopotanie wśród monopolistów angielskich. Ci ostatni usiłują wyzyskać swoje rozległe wpływy gospodarcze w Stanach Zjednoczonych, by zapewnić sobie właściwe miejsce i wpływ w nowych ugrupowaniach, które mogą powstać z inicjatywy amerykańskiej.

„Wydawany w Londynie tygodnik „South American Journal”, odbijający poglądy przedstawicieli angielskich

koł finansowo-przemysłowych rozporządzających przynajmniej wielkością inwestycji cudzoziemskich w Południowej Ameryce, wskazuje w numerze z 5. II. br., że anielska inicjatywa założycielska i handlowa w Argentynie i innych krajach Ameryki Łacińskiej nie powinna się krepować żadnymi porozumieniami angielsko-amerykańskimi wynikającymi z okoliczności czasów wojny. W szczególności pismo żąda natychmiastowego uchylenia ograniczeń handlu Anglii z Południową Ameryką wynikających z porozumienia o dzierżawie i wynajmie przedmiotów uzbrojenia, zawartego przez Anglię ze Stanami Zjednoczonymi w 1941 r. W związku z tym pismo amerykańskie „Harper’s Maga-



W polskim tańcu. (Do art. na str. 8)

zine” zaznacza, że wojna ani trochę nie zmniejszyła przyływu wkładów angielskiego kapitału w Argentynie, podobnie jak nie zmniejszyła przyływu do tego kraju przez Hiszpanię kapitału karteli niemieckich”.

„W obronie karteli międzynarodowych w ich postaci przedwojennej wystąpił także organ Wall Street „Journal of Commerce” którego wydawca, Ritter, Amerykanin pochodzenia niemieckiego, zajmował przed wojną postawę pro-niemiecką. Gazeta uważa za niedopuszczalne wszelkie ograniczanie praw karteli, ponieważ równałoby się ono wzmocnieniu kontroli rządowej nad handlem zagranicznym. Do tego punktu widzenia skłania się także organ kwakrów amerykańskich „Christian Science Monitor”, usiłujący pogodzić propagandę moralności chrześcijańskiej z obroną interesów lewiatanów międzynarodowych monopolu finansowych i przemysłowych. Postępowa prasa amerykańska wskazuje, że podobna obrona karteli międzynarodowych zmierza w dzisiejszych warunkach do jednego tylko celu — ukrycia od społecznej kontroli owych tajnych i zawitych dróg, którymi przeciekają do Niemiec deficytowe surowce, karońska i południowo-amerykańska ropa, wysyłani do Hiszpanii, a także w jaki sposób najnowsze patenty stosowane w przemyśle wojennym sojuszników stają się wkrótce znane nieprzyjacielowi.

„Komisja senatu amerykańskiego dla zbadania przemysłu wojennego, pod przewodnictwem senatora demokracji Trumana ogłosiła niedawno sprawozdanie o kartelach Stanów Zjednoczonych i ich powiązaniach przedwojennych. Sprawozdanie podkreśla, że liczne umowy kartelowe pozostają z pewnymi zmianami w mocy także podczas wojny. Do grudnia 1941 r. niektóre towarzystwa amerykańskie związane kartelowo z monopolami krajów „osi” dopomagały tym ostatnim w obchodzeniu blokad brytyjskiej, zwłaszcza przez kanały krajów Ameryki Łacińskiej i neutralnych państw Europy. Poro-

zumienia zawarte przez niektóre towarzystwa amerykańskie np. koncern chemiczny „Dupont de Nemour” przewidywały natychmiastowe wznowienie przerwanych stosunków kartelowych ze spółkami niemieckimi po wojnie. Koncern ten, jak wiadomo, zawarł porozumienie o podziale rynków światowych z angielskim trustem chemicznym „Imperial Chemical Industries” i z niemieckim koncernem chemicznym „I. G. Farbenindustrie”.

Nawet monopol naftowy „Standard Oil” korzystający ze szczególnej opieki rządu amerykańskiego zerwał swoje powiązania kartelowe z „I. G. Farbenindustrie” dopiero po wdrożeniu przeciw niemu postępowania sądowego przez ministerstwo sprawiedliwości. Pomimo to „Standard Oil” odmówił dania zobowiązania do wstrzymania się na przyszłość od związków z kartelami niemieckimi”.

„Rzecz doszła do tego, że cała kampania za ograniczeniem praw karteli, prowadzona przez amerykańskie ministerstwo sprawiedliwości, została okrzykana jako kampania skierowana przeciwko Anglii. W związku z tym minister sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych Biddle wyjaśnił: „Nasze starania o uchylenie wpływu karteli w żaden sposób nie są skierowane przeciw Anglii. Nasze usiłowania rozwiązywania tego zagadnienia mogą się okazać pożyteczne nie tylko dla Stanów Zjednoczonych, ale i dla Anglii”.

„Utarczka prasowa nie uległa jednak złagodzeniu. Oliwy do ognia dodał artykuł wstępujący londyńskiego „Times’a” z 29. II. br. rozpatrujący zagadnienie Niemiec po wojnie w świetle tzw. „jedności europejskiej”. W artykule tym z całą wyrazistością raz jeszcze ustalono postawę angielską wobec zagadnienia karteli i związku z monopolami niemieckimi. „Jeszcze przed wojną decydujące gąłtze przemysłu niemieckiego były ciasno splecione z przemysłem krajów sąsiadnych — pisaf „Times”. Obecnie niezbędne jest dalsze jeszcze posunięcie tego procesu wzajemnego splecania. Gospodarka Niemiec powinna być silnie związana z ogólnym systemem europejskim”.

„Monopolisci amerykańscy przygotowujący się do szerokiej działalności „rekonstrukcyjnej” w Europie po wojnie i walczący o „wolność konkurencji” rozwinieli kampanię przeciwko tej koncepcji”.

„Kartele międzynarodowe troszczą się o zachowanie wszystkiego, co w sposób nieunikniony rodzi nowe światowe konflikty i wojny”.

„Tymczasem w Szwajcarii pracuje tajny sztab zajmujący się utrzymaniem związków monopolu angielskich i amerykańskich z niemieckimi”.

Nie przeczymy, że działalność międzynarodowych organizacji superkapitałistycznych zasługuje na czujną uwagę. Przyszłajemy także, że niektóre „rewelacje” p. Hofmana są ciekawe. Sposób jednak ich zestawienia i podania oraz niektóre komentarze, jak to zazneczone opieki rządu, Stanów Zjedn. nad „Standard Oil” tuż przy wiadomości o kontakcie tej firmy z kartelami niemieckimi, albo zidentyfikowanie ogółu ekonomistów angielskich z obroną interesów kartelowych — zdradzają wyraźną tendencję wyiskrawiania i uogólnienia niepokojących zjawisk umyślnych. Należy też pamiętać, że pisze się to dla czytelnika, któremu przez wiele lat wbijano w głowę, że właśnie monopol kapitalistyczny są główną, jeśli nie wyłączną formą życia gospodarczego „zgniłego Zachodu”. Na tym tle wytworzenie rycałtowej sugestii, że organizacje te w Anglii i Ameryce są sobie nawzajem przeciwstawne, a w obu krajach myślą głównie o podtrzymaniu flirtu z Niemcami, sprzyja w sposób raczej wątpliwy „jednoczeniu narodów sojuszników”...

WOJNA Z NIEMCAMI CZY O NIEMCY

(Przegląd prasy)

Kongres Wiedeński ujarzmił narody europejskie, ale nie powstrzymał rewolucji; Napoleon poniósł klęskę, ale jego rewolucja zwyciężyła. „Mając naród” z drugiego końca Europy śledzi na przykładzie Polski, jak niepowodzenie wielkie mocarstwa, uracając do błędów Kongresu Wiedeńskiego. „Mądry Anglik, któremu droższa jest Europa niż kłosa bankierski lub utłuda proletariackiego „reju”, ostrzega przed obracaniem Europy w przedpocie następnej wojny światowej i żąda, by wojna o Niemcy na powrót stała się wojną z Niemcami.

PO KLĘSKĘ NAPOLEONA dyplomacja europejska stworzyła sposoby postępowania, które po klęsce Hitlera przeżyła ostatnią zapewne próbę życia. Nowojorski „Tygodnik Polski” przypomina książkę Adama Czartoryskiego o dyplomacji, w której znakomity mąż stanu reasumuje doświadczenia poczynione przez Europę w czasie kongresu wiedeńskiego i później, gdy uchwały tego kongresu weszły w życie. „Niepowodzenia Napoleona spowodowane były — zdaniem Czartoryskiego — niezrozumieniem istoty Europy, z którą można współpracować w imię pewnych zasad, ale której nie można narzucić trwałej woli jednego mocarstwa, gdyż próby takie zawsze doprowadzą do kryzysu i wojny jednoznacznej większości kontinentu przeciwko państwu, które usiłowałoby ugruntować swoją hegemonię.

„Sprzymierzeni pokonali Napoleona mając na ustach hasła poszanowania prawa, lecz z chwilą, gdy poculi się panami sytuacji, skłonni byli zapomnieć o tych hasłach. Przyczyną, dawaną w okresie słabości, stały się dla nich niewygodne i krępujące”. W tym miejscu tygodnik nowojorski cytuje słowa ks. Adama: „Łatwość powiększenia i zaakrąglenia swych terytoriów pchnęła ich do popierania na małą skalę tych samych niesprawiedliwości, jakich Napoleon dopuszczał się na wielką”.

„Co więcej — pisze dalej „Tygodnik Polski” — z chwilą, gdy minęło niebezpieczeństwo, mocarstwa uswiadomiły sobie, że mają głęboko sprzeczne interesy. Toteż, niepiętni wspaniałych obietnic i deklaracji, czterej aliansi — uniknawszy, wojny między sobą — zabrali się do dzielenia Europy na strefy wpływów, bez odwołania się na dążenia i pragnienia poszczególnych narodów. Opinia Europy, początkowo ośmieszona sukcesami koalicji, oceniła się, a poprzez kontinent przebiegała zaczęły pomruki niezadowolenia i pojawiły się głosy krytyki. W takiej atmosferze obradował kongres wiedeński.

„Mocarstwa nadające ton kongresowi nie zrozumiały — zdaniem księcia — roli małych narodów, widząc w nich tylko stasystów, a nie współwódców i współczesnych porządku europejskiego, niezbędnych czynników harmonijnej współpracy międzynarodowej. W gruncie rzeczy bowiem — stwierdza on — to właśnie mniejsze państwa decydują o równowadze, gdy siły wielkich mocarstw są niemal równe”.

NIE TYLKO NARODY HIEDEZYMORZA śledzą pilnie losy sprawy polskiej, z którego mogą odczytać swoją własną przyszłość, ale także inne narody europejskie, chociaż nie położone wcale w europejskiej strefie wpływów. Prasa portugalska żywo i bardzo przychylnie zajmuje się naszymi sprawami poświęcając im wiele uwagi i wykazując doskonałe poinformowanie.

Rocznica 3-majowa dała szeregowi dzienników portugalskich okazję do poruszenia bardziej zasadniczych aspektów sprawy polskiej. W artykule wstępnym „A Voz” dokonano przeglądu osiągnięć Polski w międzywojennym dwudziestolecu. Po czym czytamy: „Spokojna praca narodu została przerwana wojną, w której Polska — po bohaterach oporze przeciwko przezwagiącej siłom — uległa. Europa była jeszcze mniej przygotowana do wojny, niż Polska. Do wroga zachodniego przyłączył się wrog wrogiem Polski, by tradycyjnym zwyciężając podzielić się krwawymi zwłokami Polski... W samym kraju zginęło w czasie 56 miesięcy wojny ok. 5 milionów ludzi — co stanowi siódmą część ludności. Wymaganie zabrało Polsce nie mniej niż trzy miliony obywateli. Mimo tych straszliwych i bezprzykładnych stracił naród polski nie zaprzestął walki ani na chwilę... Łatwo byłoby Polakom — zwłaszcza w ciągu ostatniej fazy politycznej obecnej wojny — uzyskać złączenie reżimu okupacyjnego; nie brakuje w tym kierunku sugestii ze strony okupantów. Ale Polacy nie dali się skusić... „Czego żądają Polacy za tę niezmienność? — zapytuje „A Voz” — Zaledwie tego tylko, by pozwolono im odzyskać... Istnieje uroczysty dokument zapewnijający Polsce uznanie jej praw — jest nim Kartą Atlantyczną... Polska ma prawo oczekiwać, że świat odda jej sprawiedliwość”.

Półoficjalny tygodnik „A Voz” podkreśla, że w międzywojennym dwudziestolecu „Polska miała do pokonania niezliczone przeszko dy i trudności, a dokonała nieładowych zwycięstw. Należy się spodziewać — ciągnie dalej pismo — że po tej wojnie Polska odzyska należne jej miejsce i prawa, oraz że zdoła odegrać poważną rolę w równowadze europejskiej — zwłaszcza na Wschodzie. Polska ma do spełnienia wielką i trudną misję...”.

Szczególne wrażenie wywarł w Portugalii fakt, że wśród umów aliantów z mniejszymi krajami europejskimi w sprawie administracji cywilnej na uwalnianych terytoriach — nie było umowy z Polską. Cytowany już „A Voz” pisze: „Wydaje się nie do pomyślenia, by Polska została włączona w strefę wpływów rosyjskich, gdyż równało się to uznaniu wojny agresywnej, przeciwko której właśnie stęśliśmy do walki narody anglosaskie. Cóż Polsce po słusznosci jej praw, jeżeli mają one być zaprzeczane w imię prawa silniejszego? Arbitrem w sporze nie może być jedna ze stron zainteresowanych”. Autor zapytuje wreszcie: „Czy warto było toczyć wojnę, aby ją zakończyć uznaniem agresji, usprawiedliwionej jedynie prawem przemocy? Czy nie lepiej byłoby — co o najmniej dla Polski — gdyby była odstąpiła Gdansk? Ograbienie jej odbyłoby się przynajmniej prościej, a zarazem w sposób mniej okrutny”. Jak widzimy, dziennikarz portugalski dokładnie rozumie sytuację Polski, ale nie docenia charakteru Polaków, którzy takich pytań nie stawiają, bo znają głębsze przyczyny tej wojny i pragną wyważyć sobie coś więcej, niż święty spokój za wszelką cenę.

Z artykułu Correo Marquesa w dzienniku „A Voz”, który omawia sytuację pod nową okupacją sowiecką nazywając ją „wcale nie zachęcającą” — dowiadujemy się, że w prasie stawarskiej ogłoszone zostały niedawno szczegóły orędzia roku podziemnego Estonii, Łotwy i Litwy. Niestety, szczegółów tych nie znamy, będziemy jednak pamiętać, że w krajach tak silnie związanych z nami losami tej wojny istnieje ruch podziemny, który daje światu znać o swoich zamierzeniach politycznych. W „Diario di Noticias” ukazał się artykuł znanego dyplomaty i publicysty Augusto de Castros, który ostrzega przed powtarzaniem błędów dawnej Ligi Narodów. Instytucja ta była „jedną z przyczyn wojny, gdyż przegrzała Europę w uśpieniu, podobnie jak linia Maginota Francji. W cieniu Ligi — ciągnie de Castros — Europa śniła o bezpieczeństwie, gdy inni się zbroili, a gdy nastąpiło przebudzenie — było już za późno”. Autor zwałczy koncepcję zbiorowego bezpieczeństwa, opartego na systemie nad-państwa. „Za tym systemem zawsze będzie istniała jakaś oligarchia, w łonie której trwać będzie walka o hegemonię”. De Castros żąda stworzenia równowagi europejskiej, opartej na swobodnym układzie sił, który gwarantowałby niezawisłość mniejszym narodom, mogącym dzięki swej liczebności hamować nadmierne ambicje wielkich mocarstw. Nowy porządek w Europie jest kwestią przywrócenia autorytetu prawa. Nie można rozbrajać pięćdziesięciu państw, a pozostawiać uzbrojone cztery, gdyż doprowadzi to do „ścierania się sił, których ofiarą padną rozbrojeni”. Każda utopia wieczystego pokoju, oparta na koncepcjach dyktatorstwa trzech albo podziału stref wpływów, musi doprowadzić do nowej wojny. „Jeżeli nie uszanuje się tradycji prawnych Europy — pokój, obliczony na dwadzieścia lat, potrafi znacznie krócić”.

Ta samą sprawą zajmuje się dr de Ayala Monteiro w „Journal de Comercio”. Przypisuje on zagadnieniu mniejszych państw decydujące znaczenie, gdyż od jego rozwiązania zależy bądź pokój i przyszłość Europy. Uchronienie mniejszych państw od poażdliwości wielkich przez ich skasowanie lub utworzenie bloków ekonomicznych — to fikcje. Między wielkimi mocarstwami powstają tylko dodatkowe płaszczyzny tarci. Mniejszym narodom należy pozostawić pełną swobodę i nieczytywać grupowania się.

„BEZSENSOWNY, MECHANICZNY NISZCZENIE masy przez większą masę” staje się wojna obecnie — zdaniem wydawcy „The Nineteenth Cen-

tury”, p. Voigta, wielkiego sympatyka polskich ideałów politycznych. „Wojna straciła cel polityczny i duchowy. Gdyby mocarstwa sprzymierzone prowadziły zdrową politykę, wojna już dziś mogłaby być zakończona i wygrana; to nieprawda, że ją w Teheranie skrócono — w Teheranie wojna została przedłużona”. Po czym Voigt formułuje tę samą opinię, której dał wyraz ostatni dwaj publicyści portugalscy. „Nie wygramy wojny tworząc nad-państwo, nazywające się Ligą Narodów lub instalując rządy „Wielkiej Trójki”, czy też wreszcie wprowadzając coraz więcej kontroli, planowania i centralizacji. Wojnę można wygrać tylko przez decentralizację wielkich krajów, przez zapewnienie mniejszym krajom niezależności w federacjach regionalnych i przez stworzenie Europy, która byłaby czymś więcej niż terminem geograficznym”.

„Grozni nam, że obecna wojna zakule w kajdany tyluż narodów, ile poprzednia zwyciężyła” — pisze Voigt. W rozbitym tym sposobem Europie pojawiają się nowe formy ukrytej wojny, a wreszcie powstają narody zjednoczone Niemcy. Wpędzając narody europejskie w niewolę — wzmacnia się przyszłe Niemcy, które po pewnym czasie staną się osią krystalizacyjną ujarzmionej Europy — a więc osiągnięto to, czego ani przed tą wojną ani w ciągu niej nie udało im się osiągnąć. A wojna, jaka się wtedy rozpęta — będzie wojną o wyzwolenie już nie tylko Niemiec, lecz całej Europy!

Jak uniknąć tego niebezpieczeństwa? Voigt dochodzi do interesującego, ale ryzykownego wniosku: oto należy zaniechać podziału Niemiec na strefy okupacyjne, w ogóle należy okupować Niemcy na niewielkim odcinku i jak najkrócej, ale za to należy dążyć do jednego celu i nie dać się od niego odwieść: trzeba Niemcy rozbroić. Długa okupacja stworzy hitlerowski ruch podziemny, doprowadzi do powstania legend o hitlerowskich „męczennikach”, do utworzenia nielegalnej armii itd. Odebrać Niemcom źródła ich siły przemysł zbrojeniowy, a zresztą pozwolić im „smazać się w własnym sosie”. Tj. dopuścić do powolnego rozkładu wewnątrz — o to zdaniem Voigta napewno smokowi jego zatrutych kłów. „Jeżeli Niemcy nie będą mogli z powrotem dobrobieć się — zniknie niebezpieczeństwo powstania w Niemczech jednej doktryny. Bezpieczeństwo tkwi w wielości doktryn — niebezpieczeństwo w wyłączoneści jednej doktryny”.

Myśl ta jest śmiała i zupełnie nowa, lecz nie jest to oryginalność dla oryginalności. Voigt rozumie doskonale, że wojna z Niemcami jest w gruncie rzeczy grą o Niemcy: wysuwany przez Anglosasów warunek „bezwartunkowej kapitulacji” ma uratować Niemcy dla świata liberalnego, wyrażone przeciwstawienie się Sowietów zasadzie „bezwartunkowej kapitulacji” ma na celu uatowania Niemiec dla świata komunistycznego. Demokracja pragnie utrzymać Niemcy jako partnera w handlu światowym i jako poręczyciela porządku demokratycznego — dlatego nie chce niszczyć gospodarki niemieckiej; Sowiety pragną utłumić proletariariat niemiecki i dlatego nie chcą sobie likwidacji ciężkiego przemysłu niemieckiego. Podział na dwie okupacje — anglosaską i sowiecką — stanowiłby dalszy etap walki o Niemcy między demokracją a komunizmem. Spór ten nie zostałby prawdopodobnie wygrany ani przez Anglosasów ani przez Sowietów, tylko przez Niemcy.

Jedynym czynnikiem, który musi bronić się przed oboma koncepcjami, jest hitlerizm, który w razie dokonania i przeprowadzenia podziału na dwie okupacje musiałby zejść w podziemia i straciłby wiele czasu na powrót do sił i znaczenia. Stąd hitlerowskie próby kokietowania to jednej, to drugiej strony, by zdobyć jedną z nich przeciwko drugiej i nie tracić tempa. To jednak nie znaczy, by hitlerowcy nie szukali się do walki podziemnej — Symkall przygotowuje ją już bardzo systematycznie, szkoląc poważnie oddziały przyszłych „hitlerowskich partyzantów”.

Zarówno Anglosasi, jak i bolszewicy mierzą przede wszystkim w reżym hitlerowski, ale Sowiety mówią to wyraźnie rozróżniając reżym i naród, podczas gdy Anglosasi żyją sobie, by Niemcy zdali się na ich iaskę i nieśaskę. W tej różnicy sta-

nowisk przejawia się nierówność szans Anglosasów i Sowietów: Anglosasi mogą liczyć na to, że społeczeństwo niemieckie okaże więcej zaufania mocarstwu, w których interesie leży utrzymanie w Niemczech ładu i dobrobytu, niż mocarstwu o wyraźnych zamiarach rewolucyjnych; Sowiety natomiast zmuszone są dążyć do przewrotu w Niemczech. Anglosasi mogą więc żądać „bezwartunkowej kapitulacji” — straciłaby wielokrotnie poparcie w pokonanych Niemczech i tylko zementowałyby opór niemiecki. Toteż propaganda sowiecka i prosowiecka w świecie ostro krytykuje zasadę „bezwartunkowej kapitulacji”.

Nową koncepcję Voigta musimy więc rozumieć w ten sposób, że jest to żądanie, by wojna o Niemcy stała się istotnie wojną z Niemcami. Potęgę niemiecką należy zlikwidować — bez oglądania się na to, czy w tej lub innej formie nie mogłaby się jednak stać elementem pożądanym. Dopóki wojna o Niemcy nie stanie się wojną z Niemcami — klęska Niemiec nie będzie oznaczająca końca wojny, ale tylko koniec jednego etapu wojny i początek następnego.

W Ameryce nazwano obecny etap wojny — jej „fazą rewolucyjną”: o Niemcy walczą dwie koncepcje — liberalna i komunistyczna, konserwatywna i rewolucyjna. Faza ta trwa od czasu klęsk niemieckich pod El Alamein i Stalingradem, gdy Niemcy przestały być groźne, a stały się obiektem sporu między zarysowywanymi się nowymi konstatacjami. Voigt zdaje likwidacji „fazy rewolucyjnej” i powrotu do pierwotnych celów wojny, tj. do zniszczenia zaborczości niemieckiej. Voigt domaga się, by polityka wzięła górę nad kwestią socjalną. Stąd jego zrozumienie dla ideałów politycznych Polski, stąd poparcie, jakiego udziela naszym koncepcjom federacyjnym.

Dla Voigta wojna ta ma tylko wtedy sens, gdy zwycięstwo nad Niemcami zapewni Europie pokój, tj. gdy na gruzach militarniejszej potęgi niemieckiej powstanie silne, zdrowe, zdolne do rozwoju zespoły państwowe gwarantujące — dzięki równowadze, w jakiej się znajdują — długotrwały pokój. Stąd też jego walka z wszelkimi „realistycznymi” koncepcjami, które nie są niczym innym, jak próbą uratowania Niemiec dla tej czy innej koncepcji społecznej, a praktycznie idealnym sposobem przedłużenia wojny, tj. właściwie zarodkiem nowych wojen. A w wojnach tych Europa musi stać się albo pustynią, wielkim przedpoiem — albo... ponowną ofiarą zachłanności, ale organizacyjnie diabolicznie zdolnych Niemiec. Podział Niemiec na dwie długotrwałe okupacje dostarczyłby ponadto Niemcom... moralnego uzasadnienia ich imperializmu, gdyż uczyni z nich żywy symbol ujarzmionej, gnębionej, pustoszonej Europy!

Tak więc zarówno opór Rosji, jak i rosnący opór Anglosasów przeciwko stworzeniu nowej Europy na gruzach Niemiec i równocześnie wysuwane koncepcje „stref wpływów”, tj. podziału Niemiec i Europy między partnerów następnej rozgrywki (która nie będzie już wojną imperialistyczną, ale wojną rewolucyjną) — te symptomy zwycięstwa celów społecznych nad politycznymi. Z drugiej strony — uporcezyw trzymanie się celów społecznych musi być uważane za objaw złej woli wobec narodów europejskich, które znalazły się w wojnie dla celów politycznych, a nie społecznych i które w razie ostatecznego porażenia celów politycznych skazane są na zagładę, gdyż Europa grozi w tym wypadku całkowite zniszczenie: jeżeli cele społeczne rzeczywiście wezmą górę nad politycznymi (co według powszechnego przypuszczenia już się stało — a mianowicie w Teheranie; zob. co o tym powyżej mówi Voigt), Europa stanie się przedpoiem w następnej wojnie światowej.

Sprzymierzeni mogą udowodnić swoją dobrą wolę wobec narodów europejskich tylko w ten sposób, że pokonają Niemcy, rozbroją je, a na ich gruzach stworzą nowy system europejski, w którym nad Niemcami wezmą górę ich dotychczasowe ofiary. W ten sposób dochodzimy — dzięki Voigtowi — z nowej strony do naszej koncepcji Kongresu Wolnej Europy, budowania Europy bez Wielkiej Brytanii i Rosji, ale przy poparciu tych mocarstw i oparcia porządku europejskiego na co najmniej dwóch systemach regionalnych — jednym, na Wschodzie Niemiec, drugim na Zachodzie.

(m. r.)